Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 21. Września 1879 r. **Tom IX.**

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 34.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

XVI.

Zapewne w skutek wrażenia sprawionego niedoszłem samobójstwem lorda Philibega, Nina mniej się interesowała zabiegami, któremi hrabia Gustaw otoczył panią Natalję, podczas koncertu.

Usilowania więc hrabiego były tracone nadaremnie. Przyszła milady, mogąca choćby już nazajutrz zacząć uiszczać się z przegranej, na przypadek gdyby zakład przegrała, rzeczywiście nie widziała tych usiłowań, nie widział ich mąż Natalji, który był tego dnia może bardziej jeszcze ślepym niż na swym balu i nie widziała Warszawa, czyli zebrane towarzystwo bardzo muzyką i sądami o niej zajęte.

Dopiero więc na zabawie mającej nastąpić po koncercie, hrabia Gustaw zamierzał sobie dopiąć celu.

Los mu poszczęścił — udało mu się prędzej i łatwiej niż myślał.

Zaraz po odegraniu ostatniego numeru stał się nieodstępnym towarzyszem pani Rzewnickiej.

Emil tymczasem niespokojnym wzrokiem śledził każde poruszenie lorda. Gdyby go zawiodła ostatnia nadzieja, nie byłoby żadnego ratunku dla niego. Tego dnia właśnie przypadał termin wypłaty wekslu, i gdyby nie został zapłacony najdalej nazajutrz rano, firma Emila Rzewnickiego i współki musiałaby ogłosić bankructwo.

Lord Philibeg nie dał na siebie czekać.

Wkrótce po koncercie zbliżył się do Emila i odprowadziwszy go na stronę oddał mu pugilares:

— Panie — rzekł — oto są pańskie pieniądze.

— Raczej pańskie, milordzie — odpowiedział nasz bohater rozpromieniający się szczęściem, że go los w ostatniej chwili ratuje — pańskie, które pan u mnie lokuje.

— Przeciwnie, panie — odpowiedział Anglik spokojnie — to są pańskie pieniądze.

— Jakto milordzie?

— Tysiąc funtów, któreś mi pan zaliczył trzy dni temu na rachunek bieżący.

— A zatem...

— Zamknij pan teraz ten rachunek.. nie potrzebuję go... żenię się jutro i wyjeżdżam do Anglji.

To powiedziawszy lord skłonił mu się lekko i powrócił do Niny.

Emil osłupiał.

Deska ocalenia usunęła się z pod niego stanowczo, był zgubiony.

Kilka chwil, długich dla niego jak wieczność, przepędził w niemem zamyśleniu ściskając konwulsyjnie w ręku pieniądze otrzymane od lorda.

Póżniej ocknął się i powoli przyszedł do świadomości tego co się z nim działo.

Nikt nie zauważył skutków tego piorunu który go ugodził, wszyscy byli zajęci wesołemi rozmowami i zabawą.

Emil machinalnie spojrzał na przedmiot trzymany w ręku. Były to pieniądze. Pieniądze w niedostatecznej prawda ilości, ale pieniądze. A pieniądze — to zawsze nadzieja.

Rzucił okiem po salonie i dostrzegł w oddaleniu barona.

Pospieszył ku niemu, tłocząc się gorączkowo przez tłum.

— Panie baronie — rzekł — przepraszam, że w czasie zabawy jestem natrętny, ale rzecz zwłoki nie cierpi.

— Czegoż pan sobie życzysz?...

— Chwilki rozmowy na osobności.

— Służę panu.

Przeszli główne salony i znaleźli się w bocznym pokoju za bufetem, gdzie prócz nich nie było nikogo.

Usiedli.

— Cóż się stało? niepokoisz mnie pan, panie Emilu — zaczął baron.

— Nic się jeszcze nie stało, ale stać się może...

— Co?... czyżby lord Philibeg znowu myślał?...

Baron przerwał sam sobie, zagryzając usta. Ułożonem bylo na radzie familijnej, że o samobójczym zamiarze lorda nikt ani słówkiem nikomu nie wspomni. Tymczasem baron zastraszony przez Emila o mało się sam nie wygadał. To go najgorzej usposobiło przeciw niby-kuzynkowi.

— O cóż więc idzie, mówże pan — rzekł nalegając z wyraźną już niecierpliwością.

— Proszę, panie baronie... oto są... — zaczął Emil wciskając mu do rąk banknoty.

— Cóż to jest?

— Pieniądze.

— Cóż mi po nich?...

— Niech pan baron będzie łaskaw policzyć.

Baron przeliczył szybko.

— Jest coś około sześciu tysięcy rubli.

— Tak jest około sześciu tysięcy.

— A więc...

— W domu mam w tej chwili około dwóch tysięcy.

— To czyni ośm... ale do czegóż to prowadzi?...

— Do tego, że jeżeli do jutra rana nie będę miał drugich ośmiu, nasza współka będzie niewypłacalną.

— Nie pojmuję po co mi to mówisz, panie Emilu... jestem przecież tylko cichym wspólnikiem... postaraj się o pieniądze... to twoja rzecz...

— Znikąd dostać nie mogę i zmuszony jestem prosić pana barona...

— O pożyczkę?

— Ośmiu tysięcy rubli!

— A toś się dobrze wybrał, panie Emilu! — odparł baron Pogromski — ja dziś właśnie memu przyszłemu zięciowi zaliczyłem około półmiljona *à conto* posagu... zkądżebym nareszcie brał pieniędzy?

— Podpis pana barona...

— Podpis... podpis... mój kochany... skoro rzeczywiście interesa twoje stoją tak źle...

— Ależ to chwilowa kryzys... kursa spadły nagle... na ostatnim interesie straciliśmy...

— To jest straciłeś — poprawił baron — bo ja jestem tylko cichym wspólnikiem, a nawet prawdę powiedziawszy tylko... wierzycielem...

— Bądź co bądź ratować się można...

— Ja sądzę, że to myśl dobra z małą jednak zmianą — odpowiedział Pogromski.

— Jakto, panie baronie?...

— Należy ratować co można... — odrzekł baron, chowając do kieszeni oddane mu przez Emila pieniądze i dlatego zabieram te sześć tysięcy na rachunek mojej wierzytelności...

— Ale cóż ja pocznę, panie baronie.

— Dam ci radę... masz jeszcze dwa tysiące w kasie?

— Mam...

— Więc je weź i...

— I co, panie baronie?...

— I... jedź do Anglji.

Mówiąc te słowa które jak policzek zabolały Emila, baron już powstał z krzesła, a gdy je powiedział, odszedł spokojnie.

Nowy ten cios zamiast przerazić, zdawał się ożywiać Emila.

Wyszedł wkrótce za baronem. Był blady strasznie, ale twarz miał spokojną i uśmiech błąkał się po niej.

Przeszedł przez salony i spotkał się z Natalją.

— Chciałbym pomówić z tobą — rzekł do niej.

— Nie mogę w tej chwili kadryl się zaczyna... tańczę.

— Więc tańcz ze mną.

— Oryginalna myśl... dziękuję ci za pamięć... ale jestem zamówiona.

— Przez kogo?...

— Przez hrabiego Gustawa — odpowiedziała Natalja, mięszając się trochę.

— A!... a więc do następnego tańca.

— Do mazura... chętnie... tylko, że zdaje mi się, już się także ktoś zapisał...

— Kto?...

— Zapomniałam... zobaczę...

Wzięła do rąk tabliczkę na której zapisywali się tancerze, spojrzała na nią i milczała.

— Któż?... — powtórzył nalegając Rzewnicki.

— Sięgnął ręką po tabliczkę i wziął ją z rąk żony.

— Hrabia Gustaw... znów hrabia... dwanaście razy hrabia. . to szczególne...

— W istocie, że to oryginalne... ale cóż miałam zrobić? przecież w tem nie widzisz nic złego?...

— Złego?... no, naturalnie nic... powinienbym podobno poprosić go o *vis-à-vis* ale...

— Ale?...

— Ale nie chcę... bądź zdrowa... baw się dobrze.

— Jakto? odjeżdżasz?...

— Nie, idę do bufetu... napić się...

— Limonady?...

— Nie... wódki... zimno mi trochę...

— Zimno ci?... chcesz pić... wódkę?...— rzekła pani Emilowa bledniejąc...

— Cóż mam robić? to przecież rzecz naturalna i ty pewnie nic w tem nie widzisz złego...

Ukłonił się i odszedł, pozostawiając żonę samą, ale nie nadługo, bo wkrótce muzyka zaczęła grać kadryla i hrabia Gustaw znalazł się na stanowisku przy swojej damie.

Emil jak zapowiedział szedł do bufetu.

Po drodze zdawało mu się że go dobiegają głuche szepty.

— To jej mąż...

— I on nie wie o niczem?...

— Mężowie nigdy o niczem nie wiedzą.

Oglądał się, ale tych którzy to mogli mówić już nie było.

— Jestem widocznie pod wpływem jakiejś halucynacji akustycznej — mówił do siebie pocierając ręką czoło, z którego krople potu spływały.

Przyszedłszy do bufetu zażądał wódki.

— Likieru — poprawiono go.

— Niech będzie... aby mocny...

Wypił i nie odchodził.

— Prosiłem o likier — rzekł po chwili.

— Pan już pił...

— Nic nie szkodzi, proszę o drugi...

— Wypił powtórnie, rzucił banknot i odszedł nie czekając reszty.

Gdy przechodził koło jednego ze stolików przed którym wieczerzało towarzystwo męskie wyraźnie dobiegły go wyrazy:

— Bankierowa po uszy zakochana w hrabiu Gustawie...

— Szczęśliwy hrabia...

— I stały!...

— Jak to stały?...

— Bo mówią, że szczęśliwy drugim powrotem... nim poszła za bankiera, hrabia był pierwszym posesorem tego skarbu...

Słysząc te słowa Emil drgnął... dłoń jego poruszyła się elektrycznie i byłaby zapewne spadła na twarz mówiącego, ale powstrzymał się i zaśmiawszy się głośno zapytał:

— Panowie rozmawiają o pani Rzewnickiej?

Nikt z siedzących przy stole nie znał go, wino szumiało im w głowach, potrzeby dyskrecji nie widzieli, nie zdziwiło ich nawet pytanie, a jeden odpowiedział:

— Naturalnie.

— No, to muszę sprostować zdanie panów... ta pani nie jest bankierową...

— Tylko...

— Tylko żoną bankruta, panie. Dom Rzewnickiego et comp. od dzisiaj jest niewypłacalnym.

To powiedziawszy wyszedł.

Rozmawiający spojrzeli za nim.

— Oryginał jakiś — rzekł jeden.

— Podchmielił sobie widać — zauważył drugi.

— A wiecie panowie kto to był? — wtrącił ktoś trzeci zbliżając się do stolika.

— Nie znamy go.

— Emil Rzewnicki w swojej własnej osobie.

Wieść o tem zajściu rozbiegła się piorunem po salonach, komentowana, upiększona, powiększana dodatkami, jak to zwykle bywa w takich wypadkach.

W jednej z końcowych figur kadryla, Natalja stojąc przez chwilę ze swoim tancerzem i zajęta żywą rozmową usłyszała tuż za sobą dwie rozmawiające o tem damy.

— Zbankrutował!... wyobraź pani sobie... dziś właśnie zbankrutował...

— Czy to tylko ten sam Rzewnicki.

— Któryżby inny? — bankier...

— Ależ to może bajka...

— Sam mówił.. wyraźnie powiedział... jestem bankrut... moja żona bankrutowa... hrabia kocha się w bankrutowej... Ciekawa rzecz tylko co on teraz z sobą zrobi...

— Jakto co zrobi?...

— No... czy się utopi czy zastrzeli...

W piersiach Natalji coś ścisnęło gwałtownie, wydała krzyk okropny i padła w objęcia hrabiego Gustawa...

W półgodziny potem na wychodnem z balu hrabia Gustaw podawał rękę pięknej baronównie Ninie.

— *Ai-je gagné le pari?* — zapytał jej.

— *Venez à Londres* — odpowiedziała.

Natalja ocucona i odwieziona do domu zastała męża bezprzytomnego i majaczącego w gorączce. (Dok. nast.)

LISTY O SZLĄZKU.

przez

F. JESKE-CHOIŃSKIEGO.

I.

Podzielimy Górny Szlązk na dwie części: na okręg przemysłowy i okręg rolniczy. Zajmiemy się nasamprzód przemysłową częścią tego kraju.

Przemysł gorno-szlązki kwitnie głównie w kilku powiatach obwodu rejencyjnego opolskiego: w bytomskim, tornowickim, katowickim i zabrzeskim. Sąsiednie powiaty: pszczyński (Pless), gliwicki i rybnicki mają także wielką ilość kopalni, jednak nie tyle, ile poprzednie.

Poszukiwania geognostyczne wykazały, że się w północnej stronie tego kraju, wapno, dolomit, ołowiane kruszce, cynk, żelazo, a tu i owdzie trochę srebra znajduje: południowa część ukrywa przeważnie węgiel kamienny. Kraj to bogaty, jak widzimy, pełen ukrytych skarbów które już niejednego wzbogaciły. Bogaty dla górników, ubogi dla rolników, bo 6—8 cali głęboki czarnoziem (humis) zawiera w sobie za wiele czynników piaszczystych, aby mógł rodzić. Kopalnie też zajmują całe szmaty ziemi, która stoi bezczynna, poorana, zasuta kurzawą, zawalona odpadkami węgla i kruszców. Płomienie buchające z kominów hut, dym, snujący się szerokiemi i długiemi wstęgi, iskry, pryskające daleko w około, ubezwładniają setki morg.

Klimat jest na Górnym Szlązku tuż nad austrjacką granicą ostry i niemiły. Karpaty zatrzymują wiatry południowe, a północne bujają swobodnie, przychodząc z Polski. A jeśli się wiatr

południowy aż dotąd dostanie, przychodzi zwykle z deszczem. Wiosna tu późna i nieprzyjemna, lato krótkie, dotkliwie gorące. Szarugi ciągłe i wichry, deszcze i mgły. Dla ludzi, dotkniętych ciężką nerwową niemocą jest tu klimat zabójczy. Wstaje się codziennie rano z mocnym bólem głowy, jak po nocy przehulanej, a przez cały dzień jest się niewolnikiem snu, z którym trzeba walczyć, jak z olbrzymem. Otwiera się oczy z rana, przez okno zaziera słonko — pierś wolniej oddycha, maszci, ledwo godzina mija, a już ci bębni o okno gęsty deszcz. Klimat tu tak ociężały, żem wczoraj w powozie, do pszczyńskich lasów jadąc, zasnął — pierwszy raz w życiu. Ani rusz sie obronić. Senność, ból głowy, rozegranie nerwów do apatji i basta. Trzeba mieć zdrowe nerwy, aby tu wytrzymać...

Dym i kurzawa szkodzą nietylko zasiewom ale i drzewom. Mało tu drzew (w okręgu przemysłowym oczywiście) po drogach, mało w ogrodach. Najcierpliwiej znoszą owe ataki przemysłu: topola i brzoza.

I powietrze nie może być zdrowe w okręgu przemysłowym, co się samo przez się rozumie. Z kominów hut wypływa codziennie tyle różnorodnych dymów, które zanieczyszczają okoliczne powietrze, iż mowy być nie może o „balsamicznej woni pól i łąk.“ Kurzawa na drogach dochodzi często do grubości kilku cali. Kurzawy tej nikt nie zamiata, krom wiatru, który od czasu do czasu uniesie gęsty tuman, zasiewając nim okolice. Albo deszcz zmiłuje się nad mieszkańcami, zamieniając pokłady kurzawy na czarne strugi i błota. Kurzawa ta przyodziewa latem całe okolice: drzewa, domy, krzewy i pola, a nawet do mieszkań ludzkich przenika, w nosy, w płuca i do ust wchodzi. A jednak ludzie żyją? A żyją, bo się przyzwyczajają do takiego powietrza. Albo może dym cygar jest zdrowy? A jednak oddycha nim tyle miljonów ludzi przez całe życie. I wody okręg przemysłowy Szlązka nie ma za wiele. Właściwie powinno tu być w bród wody, bo piaszczyste ziemie są najskłonniejsze do wyrabiania wody, idącej z obłoków, ale wiele czynników przeszkadza osadzeniu się wód niebieskich. Nasamprzód szkodzi uboga roślinność, potem wytrzebianie ciągłe lasów, w końcu najwięcej same kopalnie. Milowe, podziemne ganki kopalń są drenami na wysoką skalę, które osuszają kraj. Wprawdzie wydobywają wspaniałe maszyny wody podziemne na wierzch, lecz wody tej użycie nie tylko ludziom nie służy, ale nawet ryby zabija, gdy ją odpuszczą do stawów. Pominąwszy już czynniki, które woda kopalń dobiera skutkiem życia mnóstwa ludzi i bydląt, łączy się z wodą podziemną, zanim ją maszyna na wierzch wydobyła kwas siarczanny. Wielkie wsie liczące po kilka tysięcy mieszkańców skazane są na kilka niezdrowych zródeł. Sam rząd pruski uznał potrzebę nadania Górnoszlązakom wody; poczyniono roboty przedwstępne, aby kraj wodą zaopatrzyć, ale skończyło się i tu, jak w wielu razach, na robotach przedwstępnych. Brak dobrej wody jest powodem częstych tak zwanych chorób, idących z ziemi, jakoto: tyfus, cholera itd... Powodem jest dalej w znacznej części pijaństwa, które panuje pomiędzy robotnikami hut. Ludzie mają dobrą wymówkę, nie ma uczciwej wody, trzeba pić wódkę. Więc piją. W kopalniach widać same blade, ponure twarze. Praca pod ziemią bierze tym biedakom kęs powietrza, brak wody nie pozwala im się pokrzepić tym najlepszym ze wszystkich napojów. Widok tak zwanych górników (Bergleute), albo jak tu z niemiecka mówią: *bergmonów*, robił na mnie przykre wrażenie. Zarabiają też nie wiele, więc nie dziw, że się czasem zbuntują, jak przed kilkoma dniami w Zabrzu, którego rozruchu byłem świadkiem, o czem później.

Okręg przemysłowy Górnego Szlązku należy do najbogatszych części niemieckiego kraju. Jest tu pod ziemią: żelazo, cynk, ołów, srebro, wapno, są tu pokłady węgla 50 stóp głębokie. W roku 1872 wydały kopalnie Szlązka około 100 miljonów centnarów węgla, 10 mil. cent. żelaza, 278,000 cent. ołowiu, 640,000 cent. cynku, 17,000 funtów srebra, itd... Surowy produkt wychodzi częścią z kraju, częścią też zostaje tu w fabrykach, gdzie go zaraz do użytku bezpośredniego przygotowują. Tak olbrzymie prace, potrzebują, co się samo przez się rozumie, olbrzymich sił, czy pary, czy ludzi. Ponieważ tubylcy nie mogą rąk nastarczyć, przeto jest okręg przemysłowy Szlązka punktem zbiornym robotników najróżniejszych narodowości. Rosja, Austrja i Czechy, jako kraje sąsiednie, dostarczają główny procent sił roboczych, ale i z Włoch tu przybywają. Jedna część robotników mieszka tu tylko przejściowo, druga osiedla się stale. Napływowa ludność podnosi z każdym rokiem liczbę mieszkańców; na dowód przytaczam urzędowe daty statystyczne jednego z powiatów przemysłowych, a mianowicie bytomskiego:

W roku było mieszkańcow:

1817	—	27,749
1852	—	94,081
1855	—	106,136
1858	—	134,252
1861	—	145,644
1864	—	168,408
1867	—	192,390
1871	—	234,878
1875	—	276,469

Od roku 1861—1871 przybyło w powiecie bytomskim 89,234 dusz, więc 61,26 procent. Ponieważ między temi latami liczba nowonarodzonych 35,095 dusz wynosiła, napłynęło w przeciągu 10 lat 54,139 robotników zkądinąd. Taki nagły i szybki wzrost ludności napotykamy oprócz w Szlązku, tylko w okręgach przemysłowych Anglji i Belgji. Aby się przekonać w jakim stosunku ludność do zajmowanego przez siebie miejsca się znajduje, trzeba zrobić porównanie między ludnością Prus w ogóle a tutejszych okolic.

I tak miały Prusy w 1867 na 5065,75 □ mil 19,672,237 mieszkańców, a powiat bytomski w tym samym roku na 14,15 □ mil. 192,390 mieszk. czyli na □ milę Prus w ogóle przypadło 3,881 mieszk., a na □ milę powiatu bytomskiego przypadło 13,596 mieszkańców. Liczby te, pokazują naocznie normalny stosunek ludności do zajmowanej przestrzeni, co zawsze powodem bywa nędzy. Ludność tę podzielić trzeba na dwie części: na miejską i na wiejską. W miastach siedzą kupcy i przemysłowcy mieszkało w r. 1875: 70,411 mieszkańców, po wsiach 200,058. Bytom miał wówczas 19,384 mieszk.; Królewska Huta 26,032; Tarnowica 7,063; Katowice 11,275; a Mysłowice 6.657. Bytom i Tarnowice są staremi miastami, udarowanemi od wieków pr y-wilejami; Mysłowicom zaś udzielono dopiero w 1857 r. zarząd miejski, Katowicom wr. 1867 a Królewskiej Hucie dopiero w r. 1869. A przecież te młode miasta rosną i kwitną z łaski napływającyeh robotników. Niedawno były jeszcze np. Katowice lichą miejscowością, a dziś robią wrażenie wspaniałego miasta. Coś podobnego widzimy tylko w Ameryce nad drogami żelaznemi. Ale wsie nie są tu podobne do obrazków „wiosek“. Tu walczą ludzie o byt, jak nigdzie indziej — tu mowy być nie może o wiejskiej sielance, o owem bezkłopotnem życiu wsi, o owem roślinnem istnieniu, które podobno jedynie szczęście „tej ziemi“ daje. Gdzie maszyny warczą i bębnią, gdzie czas na minuty mierzą, tam czasu nie ma do sielanek, ani ponoć ochoty. Większa część wiosek, podobna jest raczej do przedmieść wielkomiejskich, niż do wsi. Kontrast złota jest tu unaoczniony; pałac spekulanta stoi obok nędznych chat, kruszcowy dach willi błyszczy nad słomianemi pokrowami strzech.

O moralności nie ma mowy w okręgach przemysłowych Szlązka. Proletarjat wie rzadko co to pociecha religji, a rzadziej co trzeba a czego nie wolno. Z robotników rekrutują się bardzo często złodzieje, którzy się łączą w całe, dobrze uorganizowane bandy. Są one postrachem okolic; donoszą ciągle o nich gazety. Rozbójnicy ci, są tak odważni, że obłowiwszy się, zamieszkują we Wrocławiu na przedmieściowych ulicach za Odrą w okolicy tumu. Niedawno temu, szukano po całym Szlazku sławnego rozbójnika, mordercę tylu a tylu ludzi; a opryszek siedział sobie spokojnie we Wrocławiu, udając „porządnego obywatela“. Mieszkał na Hirschstrasse za mostem Lessinga, dokąd mnie często interesa wiodły. Kilka razy nocą spotykałem człowieka, wracającego z karczmy, który się do mnie przyłączał na polską gawędkę. Kiedy później sławnego opryszka ujęto i przed sądy stawiono przysięgłe, poznałem w owym zbrodniarzu — nocnego towarzysza.

I mieszkania, nie odpowiadają w okręgu górniczym wymaganiom ludności. Widzieliśmy, że się ludność w przeciągu lat 10 o 61% podniosła: w tym samym stosunku powinna była i liczba mieszkań się podnieść; a tymczasem tylko 32% różnicy. Niechże nam znowu liczby pomogą do ułatwienia sobie poglądu. Prowincja Szlązka liczy w ogóle 3,707,107 mieszkańców; na tę ilość przypada 426,552 domów, czyli 8 mieszkańców na jeden dom. Powiat bytomski liczy 534,878 mieszk., 14,269 domów, czyli na jeden dom przypada 17 osób. Różnica to znaczna, zdaje się! Kto wie, jak mieszkania górnoszlązkich robotników z chlewami zwierząt szczupłością i brudem o lepsze rywalizują, ten domyśli się, iż takie „przepełnienie“, nie może służyć nikomu.

Sam rząd stara się od niejakiego czasu o lepsze mieszkania dla górników; huty królewskie budują dla swych ludzi wygodne domy, których liczba przeszła już tysiąc, ale hut królewskich nie wiele, a prywatni przedsiębiorcy nie bardzo się troszczą o dobro owych pracowników. Grunt w okręgu górniczym, jest bardzo drogi, a zresztą i potrzebny do budynków kopalni. A przecież starać się powinni właściciele hut o zdrowe i dobre mieszkania, bo czem dla rośliny powietrze i słońce, tem dla człowieka dom, w którym żyje i oddycha. Jak uczciwe mieszkanie nawet na moralność robotników oddziałuje, przekonać się można łatwo porównywując górników rządowych hut, a prywatnych przedsiębiorstw. Górnik rządowy siedzi w domu, w którym mu miło, a prywatny ucieka przed brudem i niewygodą swego mieszkania do karczmy. Jest bez porównania więcej pijaków w hutach prywatnych, aniżeli królewskich. W dal-

*

szym ciągu oddziaływa porządne mieszkanie na ukształtowanie się rodzinnych stosunków pracownika, na usystematyzowanie życia — słowem na całą duchową stronę żywota prostego człowieka. Mieszkanie jest ważnym czynnikiem etycznym, o czem i nasi chlebodawcy pamiętać powinni.

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ NORWEGJI.

Z LUŹNYCH NOTATEK SPISAŁ

STANISŁAW BEŁZA.

I.

Na Weście. — Choroba morska. — Pan Böhn ja i Niemiec. — Czy już Chrystyania? — Czegom się najpierw na okręcie nauczył?

Na pokładzie okrętu *Westa*, wypłynąłem z Kopenhagi w dniu 14 lipca 1875 r. Dzień był pochmurny i zimny, wiatr ostry silnie dął z północy, deszczyk, rzecz dziwna, pomimo wiatru, wilgocią powietrze sycił, wszystko nie zapowiadało żeglugi spokojnej i przyjemnej.

W kajucie siedzieć nie bardzo rad byłem, poraz pierwszy bowiem odbywając dłuższą podróż okrętem, chciałem nacieszyć się morzem do syta. Patrzałem więc niespokojnie i na dół i do góry, ale zarówno tu, jak tam, roztaczała się gęsta, jednostajna przestrzeń, szara, wilgotna, ponura. Nie wiem, co dałbym był wtedy za jeden uśmiech słońca, za jeden cieplejszy jego promień, a tu tymczasem deszcz pluskał i pluskał, wzmagając co chwila siłę i gęstość swoję.

Około w pół do dziewiątej rano, dzwonek kapitana dał się słyszeć, ruch majtków na pokładzie zdwoił się; w ucho moje zaczęły wpadać jakieś obce, nieznane mi dźwięki; rozpuszczano liny przymocowujące statek do ziemi, podniesiono sztuczny pomost: ruszyliśmy.

Zbliżam się do kapitana i w ostrej mowie Bismarka zapytuję go, jak długo do Chrystyanji płynąć będziemy.

— To zależy od wiatru — odpowiedział. Pogoda jakoś nie sprzyja, morze się pieni i bałwani już teraz, a cóż dopiero gdy wpłyniemy na *Skager-Rak*; — zawsze przecież z półtory doby pokołyszemy się na pokładzie.

Dobrze więc, myślę sobie, na trzydzieści kilka godzien odcięty jestem od świata.

Myślę tak, trzymając się mocno żaglu a okręt tymczasem mknie jak strzała. Żeglujemy około wschodnich brzegów Zelandji, które nam kreślą urocze krajobrazy.

Cała ta wyspa jest jakby jednym ogrodem, zielonym, wesołym, uśmiechniętym. Brzegi jej okrągło wchodzą w morze, które je całując bezustannie, odświeża glebę i grunt żyznym czyni. Płyniemy. Na zachód widnieją nam naprzód okolice Kopenhagi, wille i domki szwajcarskie, dalej cudny *Klampenborg* ze swemi kąpielowemi zakładami, a na wschód jak przez mgłę widać jakąś szarą zbitą masę: — to Szwecja, ojczyzna Wazów naszych, grób naszej Jagiellonki!

Jaka szkoda, że deszcz nie przestaje pluskać: zdaleka widzę coś nakształt zamku w średniowiecznym stylu, z basztami i strzelnicami, ale drobiazgów rozeznać nie mogę, choć podpływamy do niego bardzo blizko.

To *Helsingör* i *Kronborg* opowiadają mi podróżnicy. Patrzę na mapę i dostrzegam że punkta te zajmują szczyt Zelandji i spoglądają oko w oko Szwecji, która w tem miejscu tak bardzo przybliżyła się do Danii, iż w pół godziny można przedostać się z jednego z tych krajów do drugiego.

Mijamy Helsingör i znajdujemy się na otwartem morzu. Zmianę położenia dostrzega się odrazu. Wody Zundu niebieskie i przejrzyste pieniły się zwolna poruszając okrętem, wody Kategatu zielone i tajemnicze, z całą siłą uderzają w dziób naszej Westy, która kołysząc się w tył i z powrotem, daje nam prześliczny, choć przerażający widok. Ani sposób iść teraz do kajuty. Tam kołysanie zdwojone sprawia nudy i mdłości nie do zniesienia, tu na pokładzie, na świeżem, morskiem powietrzu, znośniej, weselej, choć straszniej.

Zaczynają coś przebąkiwać o chorobie morskiej. Nigdy jej nie doznawszy, nie miałem o niej wyobrażenia, a choć jej nie życzyłem sobie, nie obawiałem się przecież. Stanąłem przy barjerze, trzymając się jej silnie ręką, spoglądałem na te wody poruszane tajemniczą siłą i marzyłem o tych nieznanych krajach, które zobaczę, o ludziach, których poznam, o oddalonej ojczyźnie mojej.

Naraz krzyk z góry daje się słyszeć, podnoszę głowę i spostrzegam zabawny choć przykry widok. Na pokładzie pierwszych kajut, na rozesłanych chustkach, leżą wybladłe jakieś postacie, trzęsąc się od zimna i wydając bolesne jęki. Masz tobie, to nasze urocze współtowarzyszki podróży, pierwsze padają ofiarą choroby morskiej. Biedne one, pomyślałem, przeznaczone do uszczęśliwienia nam życia, słabsze od nas i mniej wytrzymałe, pierwsze zawsze doznają silnych razów natury, które w nas raczej godzićby wpierw powinny. Ale cóż robić, wyższa to wola sprawia, że te, których natury podstawą jest litość, tak bezlitośnie często są doświadczane! Bądź jakbądź piękne panie nasze chorują, a brzydcy ich towarzysze, nie wyjmując piszącego te słowa, zdrowi są jak nigdy.

Kiedyśmy zdrowi, mówimy jeden do drugiego, to nieśmy pomoc chorym i — dalej na górę wypełniać rozkazy i zlecenia naszych pacjentek. Te jednak, z konieczności tylko pomoc naszą przyjmują, choroba morska żenuje je bardzo, i tylko brak obsługi żeńskiej, naszą w obec nich umożliwia. Po długich staraniach i zachodach damski personal o tyle przychodzi do siebie, że pomoc nasza uznaną jest za zbyteczną. Usuwamy się tedy.

Powracam na pokład, ale otóż i mnie się niedobrze robić zaczyna. Nogi podemną się chwieją, głowa cięży jak głaz, w oczach mi się ćmi. Widzi to jeden z podróżnych, podchodzi z nieśmiałością i odzywając się po niemiecku, podaje kieliszek koniaku. Przyjmuję go z podziękowaniem, i o dziwy, choroba jakby ręką odjął ulata, siły się zaczynają wzmagać, śmieję się z mojego poprzedniego stanu.

My płyniemy wciąż. Przybliżam się do mojego doktora i wybawcy, następuje rekomendacja. Dowiaduję się, że grzeczny współpasażer jest Norwegczykiem, handlarzem drzewa, kończył zakład naukowy w Niemczech i wybornie włada berlińskim dyalektem.

Ja się podaję za studenta warszawskiego uniwersytetu i zawiązuje się rozmowa:

— Co pana wiedzie w nasze strony? — pyta mnie pan Böhn — takie bowiem miał nazwisko.

—Ciekawość, łaskawy panie i chęć nauki— odpowiadam. Korzystając z wakacji puściłem się w świat, zwiedziłem szczegółowo Danję, a teraz pragnę zobaczyć wasze skandynawskie skały i przepaście.

— Bardzo panu ten projekt pochwalam, kraj nasz choć biedny, przedstawia przecież dla cudzoziemca wielki interes. Nie znajdziesz w nim złota i przepychu, ale ład i porządek, piękną choć groźną naturę, wyborne społeczne urządzenia i szlachetne serca mieszkańców. Którą stronę Norwegji chcesz pan widzieć

—Przedewszystkiem wylądowywam w Chrystjanji, a potem uzbroiwszy się w rewolwer pójdę tam, gdzie mnie oczy poniosą, bo wiem że kraj wasz wspaniały ale i rozległy.

— Nie rób pan tego. Najprzód radzę ci, nie uzbrajaj się niepotrzebnie, gdyż nic cię złego w Norwegji nie spotka. Lud nasz jest spokojny i nie chciwy, gościa szanuje i poważa, o napaści ani pomyśli: przekonasz się pan o tem. Broń, to oznaka nieufności, mogłaby go niepotrzebnie obrazić, a szanować potrzeba poczucie honoru tych poczciwców. Śmiało więc ruszaj w drogę, sam, ze spokojnem czołem, z dobrą mapą i kompasem, a zawierzaj słowom moim, że ci się nic złego nie stanie. Co się tyczy tego, gdzie masz pan iść, to radziłbym nakreślić sobie pewien w tym względzie planik. Ja jako handlujący, znam dobrze całą Norwegję; pan jej naraz poznać całej nie możesz: zobacz więc najprzód, to, co bliższe i piękniejsze, a potem gdy upodobasz nasze strony, przyjedziesz znowu do nas, to ci pokażemy więcej.

To mówiąc pan Böhn wyjął szczegółową mapę Norwegji i zaczął mi ołówkiem zakreślać okolice, w których mam być koniecznie; ja zaś obiecawszy w Chrystjanji zaopatrzyć się w kartę południowej Norwegji, połykałem z chciwością jego słowa, notując w książeczce niezrozumiałe jeszcze podówczas dla mnie wyrazy: Miösen, Lilla hamer, Telemarken, Gausta, Riukanfoss.

Na rozmowie o tem i o owem zeszło nam do wieczora. Obserwacji żadnych robić nie można było, znajdowaliśmy się bowiem na otwartem morzu, więc się gawędziło ochoczo. Przyłączył się do nas jakiś jeszcze turysta niemiecki, projektujący odbyć piechotą podróż z Chrystjanji do Bergen, we trójkę; tak więc, poruszaliśmy kwestją po kwestji Rozmowy naszej nie przerywała żadna przeszkoda, okręt mknął spokojniej i równiej, dzięki uciszonemu wiatrowi: tu i owdzie tylko wychylała się nam sylwetka jakiejś wysepki, tu i owdzie ukazywał się na widnokręgu jakiś nieznany statek, stada mew krążyły ponad głowami. Cicho było: wieczór zapadał, niebo jasne zapowiadało piękne jutro, księżyc wychylał się z poza obłoków. Uciszone wody morskie spokojniej już uderzały o boki Westy, ze wstydem ukazując bezsilność swoją. Myśmy wszyscy patrzyli na wschód, gdzie w dali ukazywało się wielkie miasto.

— To Gotenborg — odzywa się mój Norwegczyk — i kres podróży mojej. Za chwilę rozstanę się z panami, może być przecież że spotkamy się jeszcze w Chrystjanji, gdyż za dni kilka zamierzam być w tem mieście. Stańcie tylko w hotelu Stockholm.

Ledwie domawiał tych słów, dzwonek kapitana zapowiedział nam donośnie, że wjeżdżamy w przystań Gotenborską.

Była północ, uściskaliśmy, ja i mój Niemiec rękę sympatycznego Norwegczyka i nie otrzymawszy pozwolenia wyjścia na ląd, udaliśmy się do naszych kajut na spoczynek.

Obudziwszy się nazajutrz, byliśmy daleko już od Gotenborga. Znaleźliśmy się znów na pełnem morzu. Dzień był prześliczny, słońce wschodziło wspaniale, wiatr ledwo poruszał wodą. Okręt, szybko i majestatycznie pruł morskie przestrzenie, zaledwo kołysząc się nieco. I znowu cisza była, ale nie ta posępna co wczoraj wieczór, ale jasna, pogodna, uśmiechnięta. Nasze towarzyszki podróży, zawstydzone niemocą, pochowały się do swoich kajut i dziś dopiero wyszły na pokład rozkoszne, usiłując w nas wszystkich wmówić, że nigdy nie chorowały, żeśmy im nigdy pomocy nie nieśli.

I znowu w dali coś widnieć zaczyna na zachodzie, przykładam lunetę do oka i widzę miasto.

— Chrystjanja? — pytam jakiegoś majtka tyle tylko umiejąc po norwegsku.

— Laurwig — odpowiada zapytany sucho, nie przestając żuć tytoniu.

Przypływamy do tego Laurwig, miasteczka na południowo-zachodnim brzegu Norwegji położonego. Okręt nasz zbywa nieco ze swego balastu, pod postacią beczułek piwa, czy wina, zaopatruje się w świeżą słodką wodę i rusza dalej.

Mnie zajmują bardzo *gwiazdy morskie* podpływające aż pod sam statek, i chłopcy wiejscy uwijający się w łódeczkach w pogoni za niemi. Gwiazdy te, piękne w wodzie, wyjęte z niej przedstawiają śluzowatą masę, nader niemiłą w dotknięciu. Są to podobno zwierzątka należące do typu jeżowców i bardzo pospolite przy brzegach normandzkich i skandynawskich.

Opuściwszy Laurwig, wpływamy do tak nazwanego Chrystjańskiego fiordu, bezpieczni już od burz i wstrząśnień.

Jak wiadomo, żaden kraj w Europie, z wyjątkiem Grecji nie posiada tak wybornych brzegów jak Norwegja. Na całej zachodniej przestrzeni morze wrzyna się w głąb kraju na kilka i kilkanaście mil, tworząc wyborne przystanie i porty. Port Chrystjański (po norwegsku *fiord*) długi jest na 13 mil, szerokością zaś nie przechodzi zakresu widzenia gołem okiem. Znaczenie jego zatem handlowe i polityczne dla kraju jest bardzo wielkie; co do mnie to rozglądając się w nim na prawo i na lewo dostrzegłem, że nie jest on pozbawiony i estetycznej doniosłości. Po obu stronach wąskiego przesmyku wznoszą się tu i tam góry i pagórki, nader mile pociągające oko. To też przyglądałem się z przyjemnością uroczym krajobrazom, jakie raz po raz przed wzrokiem mym się roztaczały. Patrząc tak, zazdrościłem nieledwie tym biednym rybakom, którzy obsiadłszy te wzgórza, z wody żyją w cnocie i spokoju. Bo illustracją do tych krajobrazów natury stanowią tylko rybackie chatki nieśmiało tu i owdzie wyglądające z ponad ziemi i najczęściej rozproszone w dali od siebie. Jedyną znaczniejszą mieściną po Tönsbergu jest tu *Dröbak* (1700 miesz.), w którem to miejscu morze jest szerokie zaledwie na 1000 łokci.

Od Dröbaku, już niedaleko do Chrystjanji. „Za kilka godzin będziemy w stolicy“ — pociesza nas kapitan, wesoły, że przebył morze szczęśliwie i prędko. To też rozmawia ochoczo z damami, głaszcząc sobie brodę. Co się mnie tyczy, przeglądałem słowniczek niemiecko-norwegski i uczę się potrzebniejszych wyrazów.

Chleb—*bröd*, masło—*smör*, mięso—*kiöd*, ryba—*fisk*, powtarzam uparcie.

„*Chrystjanja!*“ odzywa się głos sternika, *Chrystjanja!* powtarzają za nim majtkowie, chowam więc książkę do walizki, biorę pled na rękę i powoli przygotowuję się do stąpienia na ziemię.

Godzina 9 wieczorem — jesteśmy w stolicy Norwegji.

II.

Już Chrystjanja. — Co w niej godnego widzenia? — Słówko o sztuce. — Hovöde i ładna dziewczyna. — Jeszcze pan Böhn.

Chrystjanja jest niewielkiem miastem, bodaj nawet czy nie mniejszem od najmniejszej stolicy Europy.

Rozsiadła niebardzo szeroko nad samym morskim fiordem, liczy najwięcej z jakie 80,000 mieszk. i dla przywykłego do warszawskiego chociażby ruchu, prawdziwie martwą być się wydaje.

Na pierwszy rzut oka przedstawiła mi się wcale porządnie, ulice szerokie i proste, domy wysokie i świeże, nadają miastu cechę nowożytności, jakiej darmobyś szukał gdzieindziej.

Bo też stolica Norwegji jest nowożytnem miastem.

Jej narodziny przypadają na rok 1624, za czasów panowania króla duńskiego Chrystjana IV, który fundamenta grodu tego założył, po spaleniu się do szczętu starego miasteczka *Oslo.*

Na każdym też kroku witają cię tu nowiutkie budowle, nie mające nic wspólnego z naszemi, dajmy na to na *Starem Mieście* w Warszawie.

Czy Chrystjanja jest pięknem miastem? Nie. Gmachów tu ani wspaniałych pałaców nie zobaczysz, a jeżeli gdzie uderzy twoje oko coś na kształt zbytkowniejszego mieszkania, to z pewnością jaki naukowy zakład.

Krakowskiem-Przedmieściem stolicy Norwegji jest *Carl Johans gade,* ulica długa i rozległa, prowadząca od wschodniego dworca k olei do pałacu króla. Przejdziesz ją wzdłuż i wszerz i oko twoje zatrzyma się jedynie na *Starthingsbygningen* (gmachu parlamentu, Stortingu). Gmach ten zbudowany jest w stylu nowszym i strzeżony przez lwy kamienne.

Rezydencja króla przedstawia prosty duży dom, bez ozdób architektonicznych. Wygląda jak koszary. To też nie znalazłszy w niej nic osobliwego, idziesz zobaczyć gmach uniwersytecki, dość ładny, w greckim stylu. Przypominając poniekąd Kazimierzowski pałac, leży on ustronnie nieco od głównej ulicy, otoczony klombami drzew.

Czujesz tu godność i powagę taką, jak i w obec naszego przybytku najwyższej nauki w kraju.

Ot i wszystkie gmachy. Więcej, nic. Kościoły, pomniki sztuki w innych krajach, tu przedstawiają się zimno, grobowo. Za miastem już, leży Oscarshal letni dworzec monarszy, na wzniesieniu nad wodą, biało pomalowany. Jest on tak drobny, że architekt myśli swej nawet nie mógł w nim rozwinąć i utworzył maleńką zabawkę, nie wiem nawet, czy możliwą przez cały dwór do zamieszkania.

Ażeby skończyć z zewnętrznością Chrystjanji, dodam, że prócz *Carl Johans gade,* znajdziesz tu wiele podobnych jej pod względem szerokości ulic, że pomnika żadnego na ulicy nie zobaczysz, a ogód jedyny leży tuż pod progami królewskiego dworca. Kiedym wyjeżdżał, przystępowano właśnie do wzniesienia statui konnej *Karola Jana* szwedzkiego, którego tu pamięć wielce szanują, ochrzciwszy nawet jego mianem pryncypalną ulicę w mieście.

O kilkaset kroków od tego miejsca narodowa galerja obrazów.

Jakże jej nie zobaczyć? Sztuka interesowała mnie zawsze wielce; od chwili gdy tak potężnie i niespodziewanie rozwinęła się u nas, zacząłem ją nawet nieco studjować, a mistrze ojczystego pendzla nauczyli mnie krytycznie na jej płody spoglądać. Więc ciekawy byłem jak też tam w tej biednej Chrystjanji jest ona reprezentowaną, co w tej gałązi wydał kraj, którego pobratymcy w Kopenhadze dali światu Thorwaldsena.

Rzczegółowe zwiedzenie norwegskiej galerji obrazów utwierdziło mnie w tem przekonaniu, iż wielkich malarzy Norwegja nie posiada. Sądząc z tego co w Chrystjanji jest, a są tu, jak mnie objaśniono, jedne z lepszych obrazy, malarstwo w Norwegji nie znajduje się w stanie rozkwitu.

Przedewszystkiem w galerji tej nie widzę historycznych płócien, a te co są, wykonane nad wyraz licho i bezmyślnie. Figurki to, a nie postacie dziejowe; to też ich tryumfy lub zgony na obrazach nie robią żadnego wrażenia. Może być bardzo, że co się obrazów historycznych tyczy, zepsuł mnie Matejko, ale to wszystko com w Chrystjanji widział, mojem zdaniem nie wytrzymuje krytyki.

Jeżeli historycznych obrazów w galerji w Chrystjanji nie szukać, to za to warto popatrzeć na pejzaże. Nadewszystko też pejzaż morski uprawiany tu jest powszechnie i z zamiłowaniem. Wytłómaczyć to się da łatwo; natura i otoczenie najpotężniejszy wpływ na człowieka zawsze wywierały i wywierają, a zagadka twórczości duchowej, warunkami życia łatwo da się rozwiązać. Więc cóż dziwnego, że duch norwegskiego artysty, rwący się ku pięknu, zaklina ciągle na płótnie to, co jest najpiękniejszego w otoczeniu, te ozłocone promieniami wschodzącego słońca góry i urwiska, i te mętne, spienione fale, rozbijające się bez końca o granitowe skały progów jego ojczyzny, a które w łonie swojem kryją tyle wspomnień przeszłości, tyle przyszłości zagadek?

Pejzaże morskie są w galerji obrazów w Chrystjanji piękne. Artyści też morscy tego kraju mogą współzawodniczyć pod tym względem nawet z Ajwazowskim, który przewyższa ich tylko subtelnością wykonania; — za to oddają oni nad opis wiernie ducha tych gór i tych wód północy, który unosi się nad niemi i w nich od wieków panuje.

Czemu kraj tak wysoko i szczerze religijny jak Norwegja, nie wydał religijnego malarstwa, odpowiedzieć na to pytanie nie umiem. Może duch pobożności znalazł tu odpływ w innym rodzaju sztuki, a może zbyt on skupiony w sobie, aby odpływu szukał. Nie wiem. To tylko pewno, że obrazów religijnych w Chrystjanji prawie nie ma, a te co są, są malowidłami nie obrazami.

Galerja narodowa obrazów założoną została w r. 1837 i liczy 236 płócien Datla, Tidemanda,

Gudego, Eckersberga, Cappelena, Badama, Müllera, Böego, Fricha i innych.

Na tem zakończam moje uwagi o malarzach norwegskich. Niech pobieżność sądu o nich daruje czytelnik pisarzowi, który w tych luźnych wspomnieniach z podróży, chciał uwięzić garstkę wrażeń swoich i nic więcej.

Zobaczyliście już, łaskawi czytelnicy, powierzchownie Chrystjanję całą, przekonaliście się, że nie ma ona nic w sobie tak godnego przydłuższej uwagi; chodźcież więc teraz ze mną w jej okolice, zdaleka już śmiejące się wesołemi pagórki i zielenią rozłożystych drzew.

Przedewszystkiem poprowadzę was na Hovedö. Ażeby tam się dostać, trzeba nająć czółno i płynąć; Hovedö jest bowiem wyspą, zdaleka już nader mile łechcącą badawcze turysty oko. Schodzę więc koło fortecy nad brzeg morza z zamiarem pojechania na Hovedö. Jest godzina poobiednia, właśnie wojsko na placu przed twierdzą odbywa mustrę. Przyjrzyjmyż się tej mustrze.

Przedewszystkiem powiedzieć muszę, że wojsko norwegskie wcale nie powabnie się prezentuje. Ubrane w coś nakształt okrągłej sukiennej bluzy, w kapeluszach *a la Rinaldo-Rinaldini*, z małym tornistrem na plecach i krótkim sztucerkiem na ramieniu, sprawia efekt jakichś nowozaciężnych chłopaków, gwałtem w mundur żołdacki przyobleczonych, ani z miny ani z czupryny do wojsk kontynentalnych nie podobnych. Jakieś to nadto niezdarne w ruchach, przybite i głupowate, że doprawdy się patrzeć na nich długo nie chce. To też odwracam oczy i spuszczam się ku przystani.

— Bondy! bondy (chłopie)! — wołam na jakiegoś łodziaża, mało obznajomiony jeszcze z językiem norweskim.

— Höre (słucham) — odpowiada barczysty przewoźnik.

— Til Hovedö (do Hovedö) — pokazuję pieniądze.

— En species (jednego species) — odpowiada.

— Fredsinstyve skilling (60 szylingów) — targuję się; mój przewoźnik się zgadza, wsiadam w łódkę, jedziemy.

Jakto przyjemnie płynąć w małym statku po morzu, jak to romantycznie, gdy jego rozigrane fale bawią się jak łupinką, drobną łódką, jak ją wznoszą raz w górę, to znowu pogrążają w dole, zdając się gniewać, że tak niewielka odrobina śmie deptać kark olbrzyma, pruć wody, które tyle parowców w nurtach swoich pochłonęły! Dla osób wrażliwych i lękliwych, jazda to wcale nie powabna i choć nie niebezpieczna, przecież nieprzyjemna; że jednak ja nerwowych przypadłości nie miewam, lubowałem się przeto wielce, w moich krótkich przygodach, jakich doznawałem na przestrzeni małej mili morskiej, pomiędzy przystanią Chrystjańską a wysepką będącą celem mojej podróży.

Hovedö jest wysepką. Cała jej osada składa się z kilku przysiadłych nad wodą chałupek, biednych i niepozornych, jak nasze nadwiślańskie. Otoczone do koła zielenią, dają one dach kilku rodzinom z pracy rąk opędzającym codzienne swe potrzeby. Stanąwszy na północnym zakręcie wyspy, masz Chrystjanję jak na dłoni. Bieleje ona ze swojemi świeżemi domkami, uroczo odbijającemi się w zwierciadle wód myjących od wieków jej stopy. Po za miastem góry rysują się ztąd również wdzięcznie i poważnie. Jestto, jak mi mówiono, jedyny punkt, z którego cała stolica Norwegji jest widzialną; to też Hovedö nieraz chwilowy spoczynek daje turystom, przenoszącym jej postać na papier.

Pokazywano mi też tu starożytne ruiny jakiegoś cysterskiego klasztoru. Datują one podobno z r. 1147 i ledwo pozwalają domyślać się budowy. Nad ziemią mało co ochroniono przed niszczącym zębem czasu, pod ziemią jednak widzisz jeszcze rozległe fundamenta i sklepienia. Konserwatorowie miejscowych starożytności, od niedawna zwrócili uwagę na ten prastary zabytek dziejowy i chronią go jak mogą od coraz większego zniszczenia.

Więcej na Hovedö nie ma nic godnego widzenia, prócz chyba.. ślicznego buziaczka córki stróża klasztoru, której widok przypomniał mi jasnowłose bohaterki starożytnych Sag skandynawskich; rzuciwszy więc na nią ostatnie w życiu spojrzenie, wracam do lódki i niezadługo jestem już z powrotem w moim hotelu Stokholm.

— Jakiś pan dowiadywał się o pana — zagaduje mnie po niemiecku piękna *pige* (dziewczyna) numerowa.

— Co za pan? — pytam.

— Nazwiska nie wymienił, kazał mi tylko powiedzieć, że poznał się z panem kilka dni temu na morzu, a rozstał się w Gotenburgu.

— A, rozumiem — pomyślałem. — To mój poczciwy Böhn. Obiecał być w Chrystjanji i dotrzymał słowa. Cieszę się z tego niewymownie.

Powracam do mojego pokoiku, z pięknym widokiem na wianek gór okalających stolicę Norwegji i usadowiwszy się w wygodnym fotelu czytam przewodnik niemiecki.

Do drzwi moich ktoś z lekka puka.

— „Entrez!!“ — wołam donośnym głosem i po chwili ściskam żylastą dłoń Böhna...

— Ach! jakże się raduję z tego — mówię — żeś pan o mnie nie zapomniał. Grzeczność tę pamiętać panu będę.

— Nie dziękuj mi pan — odpowiada gość — w Chrystjanji i tak być miałem, zwiedziłem sławne szluzy w Trol-höstta w Szwecji i jadę w górę kraju po drzewo. A propos, pan nie znasz Szwecji?

— Nie, ale po zwiedzeniu ojczyzny pańskiej mam zamiar udać się i tam; boć to jest kraj, który dał nam Polakom dynastję panującą w XVII wieku i silny choć niekorzystny wpływ wywarł na losy nasze.

— Wiem o tem, Gustaw Adolf nie mało złego wam wyrządził, a i Karol XII. choć protegował na tron kość z kości narodu, przecież niemniej krwawo zapisał się w rocznikach waszych. Ale dajmy pokój dziejom. Gdy pan będziesz w Szwecji, nie zapomnij przejechać się ze wschodu na zachód po systemie wodnym, łączącym morze Bałtyckie z Kategatem. Jestto system jedyny w Europie. Jak panu wiadomo, poziomy obu mórz znajdują się na jedej linji, a jeziora Wener i Wetter na wzniesieniu; otóż szło o przeprowadzenie takiej linji wodnej, któraby wszystkie te wody połączyła ze sobą. Trudności były do pokonania wielkie, ale inżynierja nasza wszystkie je pokonała. Takim więc sposobem dziś już możesz pan wsiadłszy na statek w Sztokholmie, dopłynąć wodą do Chrystjanji, bez stawania nogą na lądzie. Z początku okręt wiozący pana będzie wciąż podnoszony do góry, a potem gdy wypłynie już z jezior, spuszczać go będą szluzami, dopóki na poziomie Kategatu nie stanie. Jestto nasz sławny kanał Gothajski. Ale dość tego, zapewne pan go zechcesz poznać, boć niepodobna, byś przywędrowawszy tu tyle mil z ojczyzny swojej, na jednej Norwegji chciał poprzestać. Gdzież pan teraz jechać myślisz?

— Co prawda — odpowiedziałem — to jeszczem sobie planu podróży nie zakreślił; chodzę po ulicach Chrystjanji, uczę się waszego języka, studjuję mapy i historję waszego kraju, a potem puszczę się prawdopodobnie na zachód, w odwiedziny do sławnej Thelemarken.

— Dobry projekt, zanim jednak pan wyruszysz w drogę, posłuchaj przedewszystkiem co ci powie o Norwegji i podróżowaniu po niej ten, który nie jedną parę butów zdarł, na jej kamiennych drogach. (C. d. n).

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XIX.

W kraju więc i na emigracji zarówno członkowie komitetu przyznają się do tychże zasad demokratycznych i wspólnie walczą. To też ta śmiała walka jednała stronników niezapierających się własnych czynów i przekonań.

W obec takiego prześladowania komitetu równocześnie nastąpiło usuwanie się emigrantów z Francji, by dążyć na pole walki z ciemięztwem we własnym kraju. Galicja miała być podstawą dla zgromadzenia sił wojennych dla partyzantów, tem bardziej, że rząd austrjacki na razie milczał i niby spoczywał. Jednak zaniepokojone od Żmudzi i puszczy białowiejskiej święte przymierze na nowo podało rękę despotyzmowi i wyprawa upadła pierwej, zanim zdołali przybyć na wyznaczone miejsce liczni ochotnicy, snujący się po całych Niemczech, pełni nadziei, spiesząc jeszcze raz przelać swą krew za ojczyznę.

Upadek planów Zaliwskiego nastąpił w chwili gdy z Bezansoną cały zakład, kilkaset osób, zniechęcony prześladowaniem rządu filipowego i pragnący ojczystego powietrza, wyruszył na walkę. Lecz w Szwajcarji doszła go bolesna wieść upadku sprawy, odwołania partyzantki na inną wiosnę i zapełnienie więzień austrjackich i moskiewskich.

Dla emigracji odkrywał się obowiązek pomagania tym jako ich nazywano *żurawiom* bezańsońskim, co pozostali bez żołdów, zapomóg i bez środka zarobkowania. Wtedy znowu zaczyna się okres zbierania składek większych niż w poprzednim roku i nasi republikanie zaczynają występywać jawnie w obronie idei, która sprowadziła tę pozorną klęskę.

Nawet po rozproszeniu komitet narodowy zarządzał składki i wysyłał braciom szwajcarskim; Chodźko w *Tur* (Tours) zebrał nawet na ten cel kilka tysięcy franków.

Wszelako pozostawała jeszcze inna walka, daleko trudniejsza. Szło o wykazanie przed Europą wyprawy Zaliwskiego w należytem świetle. Dzienniki niemieckie pod tchnieniem reakcyjnem pisały same bajki najniedorzeczniejsze. A bajki te przechodziły do dziennikarstwa Zachodniego, na które

też nie pozostawały bez wpływu kiwasy wyrobione przez naszych panów, oburzonych za zachwianie spokoju, w którym tak dobrze im było rozkoszować się w kamerherskich mundurach, lub na laurach patrjotyzmu wyprowadzenia powstańców na wychodźtwo.

Otóż w obec tego Chodźko zaczyna zamieszczać cały szereg artykułów o partyzantce w *Courier d'Indre et Loire* (Kurjer Edry i Loary) wychodzącym w Tur. Lelewel zaś dokłada wszelkich usiłowań, ażeby członkowie sejmu naszego, którzy byli w dostatecznej liczbie w Paryżu, by wedle prawa 19 lutego 1831 r. zacząć formalne obrady, choć raz już zaczęli przemawiać w imię narodu. Był to plan, który musiał zawczasu spełznąć na niczem. Jednakże Lelewel chciał wypróbować wszystko. Często więc jeździł z Lagranż do Paryża na narady, poruszał co tylko można było poruszyć, oburzał na siebie całe wstecznictwo, napróżno jednak. Sejm nie odważył się na żaden rozumny krok, nie stanął śmiało. Zresztą nie miał pola działania stosownie do swego usposobienia; więc próżniaczo dogorywał.

To krzątanie się i czynność Lelewela obudziły czujność ministerstwa nadymanego wiatrem z nad Newy i nagle zrobiono u niego rewizję w Logranż, zabrano papiery i kazano natychmiast wyjechać do innego miejsca. Wysłano go wbrew woli do Tours. Znowu więc Chodźko i Lelewel zeszli się, chociaż nie na długo. I tu rząd nie dał spoczynku historykowi naszemu.

Artykuły dziennikarskie, nader ostre, podały niedaleko widzącym myśl, że je pisze prezes b. komitetu narodowego polskiego. Więc korzystając z prawa: „rząd może wymagać od wychodźców, udania się do miasta jakie będzie wskazanem; może on także zmusić do opuszczenia królestwa, jeżeli nie udadzą się na miejsce przeznaczenia, albo jeżeli on sądzi, że ich obecność zdolna jest zachwiać porządek i spokój powszechny“, nie wierząc nawet w prawdziwość tego, by Lelewel ślęczący w ówczas nad numizmatyką, mógł się przeistoczyć na konspiratora, wypędzono go z Francji, chociaż nigdy nie brał od rządu żadnego żołdu lub jakiejkolwiek zapomogi. *Thibaud*, redaktor wymienionego pisma, dowodzi, że*): „ministerstwo wcale nie powzięło takiego przekonania o Lelewelu... Z własnego popędu ono pozostawiło by wegetować w spokoju te świetne szczątki Polski, ale czyż ministerstwo jest panem swej woli? Czyliż wpływ zagraniczny, wszech-potężny w Tuilerii, nie kieruje nawet najmniejszem poruszeniem? *To Północ dzisiaj nadsyła mu swe rozkazy... Taka podłość jest niżej wszelkiego wyrazu pogardy. Dość ją rozgłosić, ażeby jej oddać najświetniejszą sprawiedliwość.*“

W innem miejscu o ministerstwie tak mówi ten sam artykuł: „15 dni temu przyszedł rozkaz wygnania.... Nie wierzyliśmy wówczas, bo niepodobna uwierzyć ani pojąć, że minister francuski, minister, który mieni się dziedzicem i godnym tłumaczem lipcowej rewolucji, mógł się stać w obec Francji tylko seidem nikczemnej nienawiści gabinetu rossyjskiego; i dzisiaj gdy już zaczynają wierzyć, jeszcze nie więcej mogą to zrozumieć.“

Lecz mimo ten głos Francji, Lelewel musiał porzucić ją. Włożywszy swe rękopisy i księgi do sakwy podróżnej w bluzie wyrobnika, dawny profesor Wszechnic, ulubieniec młodzieży, minister, członek rządu, prezes wychodźczego komitetu puścił się piechoto w podróż po gościnnej Francji, do której wzbroniono mu wstępu i szedł śród współczucia ludu szukać zajęcia i pracy u Belgów. Oto jak Chodźko opisuje swe rozstanie się z Lelewelem: „Wziąwszy swój tłumoczek na plecy, wdziawszy bluzę niebieską płócienną i kaszkiecik jeszcze polski, ruszył pieszo do *Abeville* i do *Arras*, a potem ma osiąść w Bruxelli. Przeprowadziłem go aż za most Loary, i tam pożegnaliśmy się; oko moje sięgało aż dopóki przezedłszy za górę, już go nie ujrzałem.“*) Dwaj współpracownicy na wychodźtwie nie długo byli razem i znowu, już na zawsze musieli się rozstać.

Tylko, że po wystąpieniu Kurjera i Trybuny nie mógł rząd patrzeć spokojnie na Chodźkę, bo i car czasem powtarzał jego imię. Więc w tymże miesiącu i jego wypędzono z Francji. Ponownie więc *Thibaud* **) woła: „znów musimy się rumienić z powodu nowego czynu podłości i niewdzięczności politycznej, bo wkrótce wyrwą Chodźkę z pośród naszego szacunku i naszej przyjaźni... Już urzeczywistniają się słowa senatora, poufnika Aleksandra i Mikołaja, Nowosilcowa, który mówił: Europa nie będzie spokojną dokąd kurjer moskiewskiego gabinetu nie będzie mógł swobodnie przejechać w kibitce z rozkazem waszej wielkości do Berlina, Wiednia i Paryża.“

Chodźce kazano wynieść się do (Montauban) *Montoban*, lecz nie mogąc tam pozostawać, nie mogąc zarabiać tam na utrzymanie swemi pracami literackiemi, mimowolnie musiał wyjechać z Francji i wziął pasport do Anglji. Pisze więc on „przyszła i na mnie kolej. Żadne wstawianie się Francuzów nie pomogło. Muszę opuścić Tours jutro, zostawując moją protestację do tutejszej gazety, która tak gorliwie broniła sprawy polskiej i wyprawy Zaliwskiego.“

Chodźko przybył do Francji, jak widzieliśmy, za paszportem moskiewskim, udziałem w rewolucji lipcowej, jako ozdobiony lipcowym orderem, długim pobytem we Francji stał się w obec prawa poddanym francuskim. Wypędzenie go było bezprawiem, tem bardziej, że i on nigdy nie brał żadnych zapomóg od rządu. To też sprawę jego wydalenia podjęto w sejmie, a *Lafayette* protestował przeciwko gwałtom podobnym. Niedość tego. Józef *Garnier-Pagés* 11 marca na posiedzeniu mówił: „Prześladowania władzy nie są tu wymierzone jedynie przeciwko wychodźcy; Chodźko długo zamieszkiwał Paryż, Chodźko jest prawie na tyleż Francuzem co i Polakiem, a jeknakże zaliczono go do wychodźców i do wygnańców z pośród tych wychodźców. Powtarzam, że nie dla masy wygnańców (proscrits) zrobiono to, lecz dla tych co mieli nieszczęście mieć głośne imię: Lelewel i Chodźko znani byli samodzierżcy, i jeden i drugi narazili się na jego zemstę. Nie zapominajmy nigdy olbrzymich usług, jakie Polacy po wszystkie czasy oddawali Francji; im obowiązaniśmy, że nas nie najechano po raz trzeci!“ A Kurjer podając o wypędzeniu Chodźki rozumuje: „Cóż przeszkodzi, że wkrótce, w braku prawa o odpowiedzialności ministerjalnej, pozbawiony wstydu minister nie rozpędzi obywateli francuskich, zaliczając ich do wychodźców? Zapewne, nie powinno nic nas zadziwiać po zastosowaniu jakie widzimy na Chodźce.... Nie warto rząd przekonywać o bezprawiu i nadużyciu w zastosowaniu tego prawa. Chodźko swą protestacją zasłużył się wolności i swym braciom w nieszczęściu, wychodźcom politycznym. Wiemy na pewno, że członkowie sądu w Tours napisali dla niego poradę zobowiązując go do biernego oporu samowolnemu ministerstwu. Różne okoliczności przeszkodziły przyjąć tę ofiarę i wykonywać ich rady.“ Z tego artykułu dowiadujemy się „że Mikołaj żądał, ażeby ten pisarz (Chodźko) wypędzony został z Paryża, p. de *Labourdon'naye*, minister spraw wewnętrzych, odmówił mu. Tak więc rząd 7 lipca nie obawiał się zrobić to, co nawet sama *restauracja* odrzuciła, podobną podłość.“

Sam Chodźko, nie czekając długo zaprotestował nadużyciu dokonywanemu. W protestacji zamieszczonej w dziennikach francuskich pisze on*): „Komisja nagród narodowych uznała mię godnym noszenia sławnego i wyłącznego znaku przeznaczonego dla lipcowych waleczników. Ludwik-Filip i jego ministrowie w to się wdali i pod każdym względem zatwierdzili tę uchwałę. Przypadek, jaki zemną się zdarzył podczas wypełniania swych obowiązków kapitana sztabu gwardji narodowej paryskiej i adjutanta naczelnika jenerała Lafayetta, przez długie miesiące zatrzymywał mię na łożu boleści. I tam to otrzymałem pierwsze nowiny o rewolucji polskiej.... Ranny w służbie francuskiej, z mym wielkim żalem, twierdzę to, nie mogłem brać czynnego udziału w chwale i nieszczęściach Polski. Nie z emigracją polską po raz pierwszy postawiłem mą stopę na ziemi francuskiej; jakże więc mogę być uważany za wygnańca politycznego.“ Z tem prawem obywatelstwa zasłużonem sobie we Francji, Chodźko napada na rząd. „Chciano mego wypędzenia z Francji i przez resztki wstydu, powstrzymano się dotąd od pogwałcenia zupełnego praw narodów, przez natychmiastowe wypędzenie. Bardziej niż być przerzucanym z miasta do miasta do chwili, w której podoba się rządowi stanowczo wyrzucić mnie z francuskich obszarów, wybrałem na miejsce mego pobytu Anglję.“

Chodźko chciał jechać przez Paryż. Jednakże zapytany o pozwolenie, minister kazał mu udać się wprost do *Calais*, zabraniając wstępować do stolicy.

Siedmioletnie prace na polu literatury francuskiej dawały Chodźce dochód i zabezpieczały jego byt; wydalenie go z Paryża odejmowało mu te środki. Wykazując to w swym proteście, dodaje on: „Protestuję jako Polak wolny i niepodległy a z potrzeby jako Francuz. Czyliż bo z powodu mej polskości, nie mam żadnych praw do tego tytułu, po siedmioletnim pobycie, po ogłoszeniu we francuskim języku licznych dzieł, po opłacaniu mych powinności do skarbu, odsłużeniu w gwardji narodowej, walczący w lipcu i zaszczycony orderem. Czyliż rząd w mej osobie prześladuje *polską narodowość, która nie powinna zginąć*, albo też jednego z uczestników tej rewolucji 1830, dzięki której króluje i rządzi Ludwik Filip i jego ministrowie? *Nie wolnoż mi być republikaninem? Lecz niechże otworzą roczniki Polski, a zobaczą tam od wielu wieków imię rzeczpospolitej wypisane na każdej stronicy. Taż sama krew republikańska która płynęła w żyłach naszych ojców krąży jeszcze i w naszych. Polacy w XIX wieku są republikanami, jak ich przodkowie byli nimi od czasów niezapamiętnych.* Niech stronnicy legitymizmu dawnej monarchji francuskiej i kwasi-legitymiści *juste-milieu* wiedzą, raz przedewszystkiem, że w Polsce rzeczpospolita, jeżeli jej chcą, jest również legalną“.....

Jeżeli *trybuna* zarzucała powolność Francji

---

*) Couriere d'yndre et Loire. 3 Aout 1833.

(* List do Wodzińskiego w Borkowskiego: Wyprawa Zaliw. str. 109.

**) Cour. d'Iindre et Loire. 31 Aout 1831.

*) 31 Aout 1833 Tours.

carskim życzeniom, to znowu Chodźko, odzywając się do narodu francuskiego, woła: „Jednakże dziwna to rzecz, rozkazy Mikołaja, który powinien być głową tej koalicji, podpisane w Petersburgu, zawsze w ścisłości wykonywają się w Paryżu. Ośmielam się twierdzić, bez bojaźni zaprzeczenia choćby przez jednego Polaka będącego we Francji, do jakiego by przekonania on nie należał, że nasze cierpienia i nasze nieszczęścia mniej dotkliwe nam niż ten obraz opłakanego poddania się z dobrej woli, pod rozkazy samowładzcy. Przez długi czas złączeni z honorem Francji, który nam drogi, więc z głęboką boleścią patrzymy jak on jest szargany.“

Odezwa ta wywołała wielkie wrażenie. Adjutant królewski, *Rumini*, pisał do *Gisquet*, prefekta miejscowego, że to jest okropną zuchwałością i nic podobnego nigdy nie wyszło. A tem bardziej podobne wystąpienie było dotkliwem, że w pierwszych chwilach panowania swego Ludwik Filip chcąc w czasie powstania naszego mieć przy swym boku jakiegokolwiek Polaka, nie mogąc innych odszukać w Paryżu przez swych przydwornych, obiecywał Chodźce stopień podpółkownika i order legji honorowej. Chociaż te chętki dworskie rozchwiały się razem z upadkiem powstania listopadowego, jednakże były powodem do większego nieukontentowania.

Zaledwie rozeszła się wiadomość o tej protestacji i dosięgła *Arras*, gdzie Lelewel zdążył, a wnet i on przesłał podobną ze swej strony.*) W niej wymienia on o pierwszem niepokojeniu go przez *Montaliveta*, ministra, a później mówi: „Gdyśmy wojowali z ciemiężcą Mikołajem, ani gabinety, ani dyplomacja nie odważyła się wypowiedzieć. Wyczekiwały one aż ta nierówna walka nie zakończy się, ażeby przesłać bojaźliwe prośby, niegodne tych, których dotykały. *Po naszym upadku mieliśmy prawo szukać wznowienia walki z tyranem i wzywać Rossjan na równi z innymi narodami do zgodności z nami.* Lecz rząd francuski, co się wmieszał do protestacji najbardziej poniżającej dla swego sprzymierzeńca Mikołaja, nie mógł przebaczyć naszego zamiaru.“ *Broglie* wymagał wyparcia się proklamacji, a z powodu odmowy 6 wychodźców dla zadość uczynienia *Pozzo di Borgo* wypędzono z Paryża. *Thiers*, objawiając komitetowi o postanowieniu ministerjum, sam zaproponował Lelewelowi *Lagrange* na miejsce pobytu, dał mu nawet pozwolenie znajdywania się w całym departamencie *Seine et Marne*. Później pierwszy minister *d'Argout* ustnie obiecał Lafayettowi powrót Lelewela do Paryża. Sejm powstańczy wymagał obecności Lelewela na posiedzeniach i przyjeżdżał on z Lagrange. Jednakże czujny Pozzo di Borgo przyjeżdżał sam umyślnie z Londynu, by wystarać się o odrzucenie w głąb Francji naszego historyka. I *Argout* kazał prefektowi *zmusić* Lelewela do *dobrowolnego udania się do Tours*.

„Nigdy mi nie oznajmili, nawet 1go marca, o nowem rozporządzeniu ministra wysłania mnie do Tours. Nie wiem czy p. prefekta, czy też ministra należy o to obwiniać, lecz co pewna, to że w całej tej sprawie, jak zawsze, działano z oznakami złej wiary. Rozkaz porwania mnie siłą zbrojną dany był w prefekturze w *Melun*, nosił datę 2 marca, był podpisany przez *d'Argout* na 6 tygodni mego pobytu w Lagrange.“

W wystąpieniu tem Lelewel, opisując gwały nad *Worcellem* i sobą, dodaje: „Ja i moi współrodacy wypędzeni z Francji jesteśmy niebezpieczni, wedle wysłowienia się d'Argout. Ja zaś sądzę, że daleko niebezpieczniejszym jest minister, który ze złej wiary zdradza świat i swój kraj. Jedyną przyczyną prześladowania wywieranego przeciwko nam jest ich służalstwo w obec Mikołaja. Znamy dobrze osoby prześladowane i możemy was przekonać, że wybór zrobiony dla dogodzenia tyrana moskiewskiego, że on był podyktowany przez Mikołaja lub jakiegokolwiek arystokratę, który wyzyskiwa jego łaski lub jałmużny dyplomatyczne. Lecz to prześladowanie nie ogranicza się na wypędzeniu z Francji, zabrano nadto ich papiery... Bezkarnie rzucono się na papiery innych osób, o których sądzili, że mają rozległe bardzo stosunki.... Jaki cel tych chwytań? Zapewne nie szukają w nich konspiracji przeciwko rządowi francuskiemu, w nich szukają korespondencji, rodzinnej ażeby dostarczyć Mikołajowi nowe ofiary dla knutowania i wysłania na Syberję, do min, lub co najmniej zaludnić kolonje Kaukazu. Być może, że rząd nie dokonywa sam przez się tych szpiegostw ministrów. Lecz jakże on może odpowiadać za tych co się sprzedają mu dla tłumaczenia polskich papierów?“ — Nie będę tu pomnażał wyjątków z tej zbyt długiej protestacji.

Dość, że najczynniejsi członkowie komitetu narodowego zostali zewnątrz Francji, prześladowani przez rząd i to w chwili gdy komitet Dwernickiego całkiem się rozprzęgał, a towarzystwo demokratyczne było tylko w zawiązku. Stronnictwo zaś monarchiczno-arystokratyczne już zwabiło w swe szeregi nawet i Mochnackiego Maurycego. (C. d. n.)

*) Arras 15 września 1833 — patrz *la tribune*.

IDZIE KU NAM, IDZIE PAN JUŻ W CHWALE.

(Z niedrukowanych poezji M. Romanowskiego).

Idzie ku nam, idzie Pan już w chwale —
Ułaskawione serce go przeczuwa —
Drży przyroda — niebo się zasuwa —
Lilja chowa kwiat we wód krysztale —
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale!

Wstańcie smutkiem do mogił przykuci!
Coście niemi? Co was lęk przechodzi?
Idzie ojciec, ziemia się odrodzi —
Zmartwychwstania dreszcz ze snu ją cuci —
Wstańcie smutkiem do mogił przykuci!

Biada zbrodniom! już je anioł waży,
Zawieszoną na niebiosach wagą;
Przy nim drugi stoi z szablą nagą,
A gniew boży płonie mu na twarzy —
Biada zbrodniom! Już je anioł waży.

On tę szablę ognistą połamie
Na tysiące i z góry ją rzuci.
Błogo temu, co się dotąd smuci;
Jako szermierz na zbawienia znamię
Już rycerskie jutro wzniesie ramię.

Jutro burze — jutro rykną gromy,
Pan je każdym nad głową zapali.
Pan zbrodniarza oczom nie widomy
Jutro z prochem zrówna jego domy,
Piorunami z tronu go powali!

Chwała Panu! idzie ku nam w chwale.
Utęsknione serce go przeczuwa.
Drży przyroda — niebo się zasuwa —
Anioł spuścił na dół zbrodni szalę —
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale!

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Fabryka.

Urodziłem się 13 maja 18.. w jednem z miast Langwedocji, gdzie jak we wszystkich miastach południowych wiele jest słońca, nie mało kurzu, klasztor Karmelitów i dwa lub trzy rzymskie pomniki.

Mój ojciec, p. Eyssette, który w tym czasie prowadził handel fularami, posiadał u bram miasta tego wielką fabrykę; w jednym z jej rogów urządził był dla siebie śliczne pomieszkanie, ocienione platanami, a od warsztatów oddzielone obszernym ogrodem. Tam to przyszedłem na świat; i tam przepędziłem pierwsze, jedynie dobre lata życia mego. To też we wdzięcznej pamięci mojej pozostało na zawsze niezatarte wspomnienie ogrodu, fabryki i platanów; kiedy wskutek ruiny rodziców moich musiałem rozstać się z nimi, żałowałem ich tak, jak gdyby to były istoty żyjące.

Najprzód muszę wyznać, że urodzenie moje nie przyniosło szczęścia domowi Eyssette. Stara Anna, kucharka nasza, opowiadała mi potem nieraz, jak mój ojciec, który był wówczas w podróży, dowiedział się o mojem przyjściu na świat a jednocześnie o zniknięciu jednego ze swych klientów z Marsylji, który mu zabrał czterdzieści tysięcy franków z górą; tak że p. Eyssette szczęśliwy, a zarazem mocno strapiony, sam nie wiedział czy ma płakać nad zniknięciem klienta swego z Marsylji, czy cieszyć się ze szczęśliwego przybycia małego Daniela... Trzeba było płakać, mój dobry p. Eyssette, płakać podwójnie.

Tak jest; byłem złą gwiazdą dla rodziców moich. Od chwili urodzenia mego rozmaite klęski posypały się na nich ze wszystkich stron. Najprzód zatem klient z Marsylji, dalej dwukrotny pożar w jednym roku, potem zmowa robotnic, potem kłótnia ze stryjem Baptystą, następnie kosztowny bardzo proces z kupcami farb; nakoniec rewolucja z 18.., która dobiła nas.

Od tej chwili fabryka zaledwie dyszała; pracownie opróżniały się powoli, co tydzień znikał jeden warsztat, co miesiąc zmniejszała się liczba stołów drukarskich do wytlaczania deseni. Litość brała patrząc, jak z domu naszego, niby z chorego ciała, coś ubywało codziennie potrosze, powoli. Jednego dnia zabito wejście do sal drugiego piętra. Innego znowu zamknięto tylny dziedziniec. Trwało to dwa lata; przez dwa lata fabryka konała. Nakoniec dnia pewnego robotnicy nie przyszli wcale, dzwon fabryki głucho zamilkł; studnia z kołem przestała zgrzytać; w wielkich

basenach, w których prano tkaniny, woda stanęła nieruchomie, i wkrótce w całej fabryce pozostali tylko pan i pani Eyssette, stara Anna, mój brat Jakób i ja; dalej zaś w głębi dla pilnowania warsztatów, odźwierny Kolomb i mały syn jego Rudy.

Skończyło się, byliśmy zrujnowani.

Miałem wówczas sześć czy siedm lat. Ponieważ byłem bardzo wątły i chorowity, rodzice nie chcieli posyłać mię do szkoły. Matka tylko wyuczyła mię czytać i pisać; nauczyłem się też od niej kilka wyrazów po hiszpańsku, jako też dwóch lub trzech pieśni na gitarze, co wszystko razem zrobiło mi w kółku rodzinnem sławę małego cudu. Dzięki temu systemowi wychowania, nigdy nie wychodziłem z domu i byłem świadkiem wszystkich chwil konania fabryki Eyssette. Muszę tu wyznać, że widok ten nie poruszał mię wcale; przeciwnie, upadek nasz miał tę stronę przyjemną dla mnie, że mogłem odtąd biegać po całej fabryce, na co dawniej, kiedy byli robotnicy, pozwalano mi tylko w niedzielę. Z powagą mówiłem do małego Rudego: „Teraz fabryka do mnie należy; dano mi ją do zabawy". I mały Rudy wierzył mi. Wierzył wszystkiemu, co mu mówiłem, głupiec ten.

Ale w domu wszyscy nie tak wesoło zapatrywali się na ruinę naszą. Pan Eyssette stał się nagle strasznym; z natury otwarty, zapalczywy, gwałtowny, przesadzający rzecz każdą, lubiący krzyk, stuk, grzmoty; zresztą, najlepszy w świecie człowiek, miał tylko prędką rękę, donośny głos i koniecznie potrzebował, by wszystko, co go otaczało, drżało przed nim. Nieszczęście zamiast złamać, rozjątrzyło go tylko. Stał się odtąd uosobieniem gniewu, który nie wiedząc, do czego się zwrócić, czepiał wszystkiego: słońca, wiatru, Jakóba, starej Anny, rewolucji, oh! szczególnie rewolucji!... Słuchając ojca mego, możnaby było przysiądz, że ta rewolucja z 18.., która nam tyle złego sprawiła, była wyłącznie przeciwko Eyssettom skierowana. To też proszę mi wierzyć, że rewolucjoniści nie mieli łaski w domu naszym. Bóg jeden wie, czegośmy to wówczas nie mówili o tych panach... Była to zmora ojca mego. Dzisiaj jeszcze kiedy stary papa Eyssette (niech go Bóg jak najdłużej zachowa przy życiu) czuje nadchodzący atak podagry, wyciąga się wówczas stękając na swojej kanapce i mówi krzywiąc się: „Oh! ci rewolucjoniści!..."

W czasie, o którym mowa, p. Eyssette nie miał podagry, i boleść spowodowana ruiną uczyniła zeń człowieka strasznego, do którego nikt się zbliżyć nie śmiał. W przeciągu dwóch tygodni, trzeba było dwa razy krew mu puścić. Wszyscy przy nim milczeli. U stołu po cichu prosiliśmy o chleb. Nie śmiano nawet płakać w obecności jego. To też jak tylko wyszedł, w całym domu powstawało jedno łkanie; matka moja, stara Anna, mój brat Jakób, a także mój dorosły brat ksiądz, kiedy przychodził, wszyscy brali w tym koncercie udział. Moja matka, rozumie się, płakała widząc, pana Eyssette nieszczęśliwym; ksiądz i stara Anna płakali, widząc płaczącą panią Eyssette; co do Jakóba, który za młody był, by mógł zrozumieć nieszczęście nasze, o dwa lata zaledwie starszy był odemnie, ten płakał z potrzeby, dla własnej przyjemności.

Szczególne to było dziecko, ten mój brat Jakób! Oto miał dar wylewania łez! O ile zapamiętam, zawsze go widziałem z oczami czerwonemi i twarzą zalaną łzami! Wieczorem, rano, we dnie, w nocy, w szkole, w domu, na przechadzce, płakał bezustannie, płakał wszędzie, kiedy go pytano: „Co ci jest?" łkając odpowiadał: „Nic mi nie jest." A co najciekawsze, że w istocie nic mu nie było. Płakał tak, jak inni ucierając nosa, częściej tylko, nic więcej. Czasem pan Eyssette rozjątrzony mówił do matki: „To dziecko jest śmieszne, popatrz na niego!... to istna rzeka". Na co pani Eyssette odpowiadała łagodnym swym głosem: „Cóż zrobić, mój przyjacielu, przejdzie to jak wyrośnie; w jego wieku byłam taka jak on." Tymczasem Jakób rósł nawet bardzo, a nie przechodziło mu to wcale. Przeciwnie, szczególna zdolność dziwnego tego chłopca, zdolność wylewania potoków łez bez żadnej przyczyny wzrastała wciąż. To też zmartwienie rodziców naszych, było dla niego dobrą gratką... Teraz już całemi dniami szlochał do woli, a nikt go nie pytał: „Co ci jest?"

Jednem słowem, dla Jakóba, tak jak i dla mnie, ruina nasza miała przyjemną stronę swoję.

Co do mnie, bardzo nawet byłem szczęśliwy. Przestano się mną zupełnie zajmować. Korzystając z tego, całymi dniami bawiłem się z rudym w pustych pracowniach, gdzie odgłos kroków naszych rozchodził się jak w kościele, i na wielkich pustych podwórzach, które trawą porastać już zaczęły. Rudy, syn odźwiernego Kolomba, był to duży, dwunastoletni chłopiec, silny jak wół, wierny jak pies, głupi jak but i odznaczający się szczególnie ogromną czerwoną czupryną, której zawdzięczał przezwisko swe Rudego. Ale muszę tu dodać, że Rudy dla mnie nie był Rudym. Był on z kolei moim wiernym Piątaszkiem, hordą dzikich, zbuntowaną załogą, jednem słowem wszystkiem, czego mi trzeba było na razie. Ja sam nie nazywałem się wówczas Danielem Eyssette; byłem owym dziwnym człowiekiem, ubranym w skóry zwierząt, człowiekiem, którego historją dano mi właśnie, samym panem Kruzoe. O słodkie złudzenie! Wieczorem, po kolacji, odczytałem mego *Robinsona*, uczyłem się go na pamięć; we dnie odegrywałem rolę jego, odegrywałem zapamiętale i do tej komedji wciągałem wszystko, co mię otaczało. Fabryka przestała być fabryką; była to pusta wyspa (oh! bardzo pusta!) Baseny przedstawiały Ocean. Ogród stanowił las dziewiczy. W platanach roiło się mnóstwo koników polnych, które nie domyślając się tego wcale, brały w grze tej udział swój.

Rudy także nie wiedział, jak wielkiego znaczenia była rola jego. W niemałym znalazłby się kłopocie, gdyby go spytano, kto to był Robinson; muszę jednak przyznać, że bardzo sumiennie wypełniał swój urząd, a co się tyczy naśladowania ryku dzikich ludzi, nie miał sobie równego. Gdzie się tego wyuczył? Nie wiem. Dość, że ten potężny ryk, który wydobywał z głębi gardła swego, potrząsając swą ogromną czerwoną czupryną, mógłby był przestraszyć największego śmiałka. Mnie samemu, Robinsonowi, serce czasem drżało, i mówiłem mu wówczas z cicha: „Nie tak mocno, Rudy, przestraszasz mię."

Na nieszczęście, Rudy nie tylko doskonale naśladował krzyk dzikich, ale doskonalej jeszcze klął i powtarzał grube wyrazy ulicznych dzieci. Bawiąc się z nim, wyuczyłem się tego również, i pewnego dnia, u stołu, nie wiem jakim sposobem wyrwało mi się z ust straszliwe przekleństwo. Na to pomięszanie zrobiło się ogólne! „Kto cię tego wyuczył? Gdzieś to słyszał?" Powstała ztąd cała historja. Pan Eyssette zaraz zaczął mówić o domu poprawy dla mnie; mój brat ksiądz utrzymywał, że trzeba mię posłać do spowiedzi, że wiek mój był po temu. Zaprowadzono mię do spowiedzi. Ogromna to była sprawa! Ze wszystkich zakątków sumienia mego musiałem pozbierać mnóstwo starych grzechów, które od lat siedmiu włóczyły się po nich. Co za praca! Nie spałem całe dwie noce; bo też zebrałem cały kosz tych przeklętych grzechów; najmniejsze ułożyłem na wierzchu, ale nic to nie pomogło, tamte przeglądały z pod spodu, i kiedy klęcząc w małej dębowej szafie, musiałem pokazać to wszystko proboszczowi w Récollets, myślałem, że umrę ze strachu i wstydu...

Skończyło się. Nie chciałem już odtąd bawić się z Rudym; wiedziałem już teraz, święty Paweł powiedział to, a proboszcz z Récollets powtórzył, że zły duch krąży wiecznie kcło nas jak lew, *querens quem devoret*. Oh! to *querens quem devoret*, jakie wrażenie sprawiło ono na mnie! Widziałem także, że ten intrygant Lucyper przybiera jakie chce postacie, by nas skusić; i niktby mi tego nie wyjął z głowy, że chcąc mię wyuczyć kląć, ukrył się był w skórze Rudego. To też mojem pierwszem staraniem było uprzedzić Piątaszka, że odtąd nie będę się z nim bawił. Nieszczęśliwy Piątaszek! Rozkaz ten zakrwawił mu serce, ale usłuchał go bez szemrania. Czasami widziałem go jak stał we drzwiach izdebki, od strony pracowni; smutny był bardzo; jak tylko spostrzegł, że patrzę na niego, wówczas chcąc mię rozczulić, wydawał najstraszliwszy ryk, potrząsając ognistą swą grzywą; ale im mocniej ryczał, tem dalej uciekałem od niego. Znajdywałem w nim wielkie podobieństwo do lwa *querens'a*. I wołałem z daleka: „Idź precz! szkaradny jesteś."

Rudy uparcie ryczał przez dni kilka; nareszcie, pewnego dnia ojciec jego znudzony tem ryczeniem w domu, posłał go ryczeć w terminie u majstra jakiegoś, i nie widziałem go już odtąd.

Zapał mój do Robinsona nie ochłódł przez to ani na chwilę. Właśnie około tego czasu stryjowi Baptyście nagle zbrzydła papuga jego i oddał mi ją. Papuga ta zajęła miejsce Piętaszka. Wsadziwszy ją do pięknej klatki, umieściłem w mojem zimowem mieszkaniu i znowu, więcej niż kiedy, wcieliwszy się w Kruzoa, dnie całe przepędzałem z mym ptakiem, usiłując nauczyć go wyrazów: „Robinson! mój biedny Robinson!" I któż uwierzy temu? Papuga, którą stryj mi oddał znudzony wiecznem jej paplaniem, uparcie zamilkła, jak tylko mnie się dostała... Ani „mój biedny Robinson" ani nic innego; nic zupełnie nie mogłem z niej wydobyć. Pomimo to lubiłem ją bardzo i opiekowałem się troskliwie.

I tak, moja papuga i ja żyliśmy w jak największej samotności, kiedy razu jednego coś nadzwyczajnego stało się. Dnia tego bardzo rano wyszedłem z mojej chaty i uzbrojony od stóp do głowy odbywałem przegląd wyspy mojej... Nagle spostrzegłem trzy lub cztery osoby idące ku mnie; rozmawiały z sobą bardzo głośno i żywo giestykulowały. Sprawiedliwy Boże! Ludzie na mojej wyspie! Zaledwiem miał czas ukryć się za krzakiem oleandru i położyć na brzuchu, jeżeli łaska... Ludzie przeszli mimo, nie widząc mnie... Zdawało mi się, że poznaję głos odźwiernego Kolomba, co mię trochę uspokoiło; ale pomimo to, jak tylko się oddalili, wyszedłem z kryjówki i podążyłem z tyłu za nimi, chcąc wiedzieć, co to z tego będzie...

Obcy ci ludzie długo bawili na wyspie mojej. Zwiedzili ją całą bardzo szczegółowo. Widziałem, jak wchodzili do grot moich, jak laskami swemi

próbowali głębokości moich oceanów. Od czasu do czasu zatrzymywali się i kręcili głowami... Obawiałem się nadewszystko, by nie odkryli mojego mieszkania... Cóżby się ze mną stało, wielki Boże! Szczęściem nie stało się tak, i w pół godziny potem ludzie odeszli, nie domyśliwszy się nawet, że wyspa była zamieszkana. Jak tylko znikli, pobiegłem do jednej z chałup moich, i zatarasowawszy się, przepędziłem w niej dzień cały, rozmyślając nad tem, kto byli ci ludzie i czego tu chcieli.

Czego chcieli, niestety!... Miałem się o tem prędko dowiedzieć.

Wieczorem, podczas wieczerzy, pan Eyssette uroczyście oznajmił nam, że fabryka sprzedana, i że za miesiąc wyjedziemy do Lugdunu, gdzie mamy odtąd mieszkać.

Był to cios straszny. Sądziłem, że niebo się wali. Fabryka sprzedana!... A to dobre!... a moja wyspa, moje groty, chaty moje!

Niestety! wyspa, groty, chaty, pan Eyssette sprzedał wszystko; trzeba było wszystko opuścić. Boże! jakże płakałem!...

Przez cały miesiąc, podczas kiedy w domu pakowano zwierciadła i naczynia stołowe, smutny przechadzałem się po kochanej fabryce mojej. Nie miałem już serca do zabawy, łatwo to pojmiecie... oh! nie miałem!... Chodziłem po wszystkich kątach, i patrząc na wszystkie przedmioty przemawiałem do nich jak do żywych istot... mówiłem do platanów: „Żegnam was, drodzy przyjaciele“ i do basenów: „Skończyło się, nie zobaczymy się więcej.“ W głębi ogrodu był granat, którego piękne, czerwone kwiaty rozkwitały na słońcu. Do niego mówiłem, łkając: „Daj mi jeden z tych kwiatów.“ I dał mi. Na pamiątkę granatu schowałem kwiat jego na piersiach. Czułem się bardzo nieszczęśliwy.

Jednakże wśród tej wielkiej boleści dwie rzeczy uśmiechały się do mnie; najprzód myśl, że pojadę statkiem, a potem to, że mi pozwolono zabrać papugę moją. Mówiłem sobie, że Robinson opuścił wyspę swą w podobnych mniej więcej okolicznościach... to mi dodawało odwagi.

Nakoniec, dzień wyjazdu nadszedł. Pan Eyssette od tygodnia już był w Lugdunie. Wyjechał był naprzód z wielkimi sprzętami. Ja jechałem wraz z Jakóbem, z matką, i ze starą Anną. Mój brat ksiądz pozostawał na miejscu, ale towarzyszył nam do dyliżansu w Beancaire, odźwierny Kolomb odprowadzał nas także. Szedł przodem, popychając ogromne taczki obładowane tłumokami. Z tyłu szedł mój brat ksiądz, prowadząc pod rękę panią Eyssette.

Niestety! biedny mój ksiądz, którego nie miałem więcej widzieć!

Dalej szła stara Anna, niosąc ogromny parasol niebieski a obok niej Jakób; ten, chociaż kontent, że jedzie do Lugdunu, łkał pomimo to zapamiętale... Na samym końcu orszaku kroczył Daniel Eyssette, poważnie niosąc klatkę papugi i co krok odwracając się w stronę swojej kochanej fabryki.

Otóż, w miarę tego jak się karawana oddalała, drzewo granatu, chcąc popatrzeć na nią jeszcze, podnosiło się o ile mogło powyżej murów ogrodu... Platany poruszały gałęźmi swemi na znak pożegnania... Daniel Eyssette, bardzo wzruszony, końcem palców ukradkiem przesyłał im wszystkim pocałunki...

Wyspę moją opuściłem 30 września 18...

II.

Tarakany.

O wypadki dzieciństwa mego! Jakież głębokie wrażenie wywarłyście na mnie! Zdaje mi się, że to wczoraj ta podróż do Lugdunu odbyła się! Oczami pamięci widzę jeszcze statek, jego pasażerów, załogę jego; słyszę szum kół i świst maszyny. Kapitan nazywał się Géniès, kucharz Montélimart. Takich rzeczy nie zapomina się.

Podróż trwała dni trzy. Te trzy dni przepędziłem na pomoście, schodząc do salonu tyle tylko, ile trzeba było dla jedzenia i spania. Resztę czasu spędzałem na samym końcu statku, przy kotwicy. Tam się znajdował też duży dzwon, w który uderzano przy wjeździe do miast; siadałem przy tym dzwonie wśród stosu lin; klatkę papugi stawiłem między nogami i patrzyłem. Rodan tak był szeroki, że brzegi jego zaledwie dojrzeć mogłem. Chciałbym, żeby był jeszcze szerszy i żeby się nazywał morze! Niebo śmiało się, fala połyskiwała szmaragdem. Wielkie łodzie prześlizgiwały się z biegiem wody. Marynarze, siedząc na mułach, pławili je i śpiewając przesuwali się koło nas. Czasami statek przepływał koło jakiej wyspy mocno zarośniętej, pokrytej trzciną i wierzbami. „Oh! bezludna wyspa!“ mówiłem do siebie i pochłaniałem ją oczami...

Pod koniec trzeciego dnia sądziłem, że będziemy mieli burzę. Niebo nagle zaciemniło się; gęsta mgła kłębiła się nad rzeką; na przodzie okrętu zapalono wielką latarnię, i na prawdę patrząc na te wszystkie oznaki, zaczynałem czuć wzruszenie... W tej chwili ktoś rzekł koło mnie: „Otóż i Lugdun!“ Jednocześnie rozległ się głos wielkiego dzwonu. Byłto Lugdun.

Wśród mgły, niewyraźnie ujrzałem światełka błyszczące po obu brzegach; przesunęliśmy się popod jednym mostem, potem pod drugim. Za każdym razem ogromny komin maszyny łamał się we dwoje i dmuchał na statek kłębami dymu czarnego, który ze wszystkich piersi wywoływał kaszel; okropne zamięszanie powstało naraz. Pasażerowie szukali tłómoków swoich; majtkowie klęli, tocząc beczki w ciemności. Deszcz padał...

Pospieszyłem do matki, Jakóba i starej Anny, którzy znajdowali się na drugim końcu statku, i tak wszystko czworo, cisnąc się pod wielki parasol Anny staliśmy wyczekując, podczas kiedy statek płynął wzdłuż wybrzeży, i wyładowanie rozpoczynało się.

Na prawdę, gdyby pan Eyssette nie był przyszedł po nas, sądzę, że nigdybyśmy się nie wydobyli sami. Dostał się do nas po omacku, wołając: „Hola! ho!“ Na ten głos dobrze znany wszyscy czworo, niewypowiedzianem zadowoleniem i ulgą, odpowiedzieliśmy razem: „Tutaj!“ Pan Eyssette ucałował nas prędko, jedną ręką ujął mego brata, drugą mnie, rzekł do kobiet: „Idźcie za mną!“ i w drogę.. Ah! to był mężczyzna!...

Z trudnością posuwaliśmy się naprzód; ciemno i ślizko było na pomoście. Za każdym krokiem ktoś się potykał o leżące wszędzie paki... Nagle z drugiego końca statku głos żałośny, przeraźliwy doszedł do nas: „Robinson! Robinson!“ wołał.

„Ah! mój Boże!“ krzyknąłem i usiłowałem uwolnić rękę moję z dłoni ojca; ten sądząc, żem się pośliznął, ścisnął ją mocniej jeszcze.

Głos odezwał się znowu, jeszcze przeraźliwszy i żałośniejszy: „Robinson! mój biedny Robinson!“ Znowu chciałem oswobodzić rękę swą. Papuga moja, papuga, zawołałem!“

„To ona już mówi teraz?“ spytał Jakób.

Czy mówi? spodziewam się; słychać ją było o milę...

W zamięszaniu zostawiłem był ją na końcu statku, przy kotwicy, i ztamtąd to wołała mię, krzycząc z całych sił: „Robinson! Robinson, mój biedny Robinson!“

Na nieszczęście byliśmy już daleko; kapitan Géniès wołał: „Spieszmy się!“

„Przyjdziemy po nią jutro — rzekł pan Eyssette; nic nie ginie nigdy na statku!“ Poczem, pomimo mych łez, pociągnął mię dalej. Niestety! Nazajutrz posłano po papugę i nie znaleziono jej... Wyobraźcie sobie rozpacz moję: nie miałem już Piątaszka! nie miałem papugi! Robinson nie mógł też istnieć więcej! Zresztą, przy najlepszych w świecie chęciach, jakim sposobem mogłem zbudować bezludną wyspę na czwartem piętrze, w domu brudnym i wilgotnym, przy ulicy Lanterne?

Oh! szkaradny dom! Pamiętać go będę całe życie: schody lepkie; dziedziniec przypominający studnię; na dziedzińcu odźwierny, szewc z zawodu, miał swoją szopę przy pompie... Odrażające to było wszystko.

Tegoż wieczora kiedyśmy przybyli, stara Anna gospodarując w kuchni, wydała krzyk rozpaczy:

— Tarakany! tarakany!

Zbiegliśmy się. Co za widok!... kuchnia pełna tych obrzydliwych stworzeń; na kredensie, po ścianach, w szufladach, na kominie, w bufecie, wszędzie! gniotło się je, niechcący nawet. Nachodziły przez otwory ścieku, zatkano otwory, ale nazajutrz wieczorem wróciły inną drogą, nie wiadomo jaką. Trzeba było postarać się o kota, coby je dusił, i odtąd co noc straszliwe mordy odbywały się w kuchni.

Od pierwszego wieczora tarakany obrzydziły mi Lugdun. Nazajutrz jeszcze było gorzej. Trzeba było zmienić dawne nawyknienia, inne godziny wyznaczono do jedzenia... Chleby w innej jak u nas formie kupowano. Nazywano je „wieńcami.“ Oto nazwa!

U rzeźników, kiedy stara Anna zażądała pieczeni, zowiąc ją po swojemu: *carbonade*, rzeźnik zaśmiał się jej w nos; nie wiedział, co to jest *carbonade*, dziki ten... Oh! Przykrzyło mi się bardzo!...

W niedzielę, dla rozrywki, chodziliśmy całą rodziną na wybrzeża Rodanu z parasolami. Instynktownie kierowaliśmy się zawsze ku południowi, w stronę Perrache... Zdaje mi się, że zbliżam się do ukochanych stron naszych, mówiła matka moja, która więcej jeszcze niż ja tęskniła za niemi... Rodzinne te przechadzki bardzo były nie wesołe. Pan Eyssette łajał, Jakób płakał przez cały czas, ja zawsze szedłem z tyłu; nie wiem, dla czego wstydziłem się, kiedym był na ulicy; dla tego zapewne, żeśmy byli biedni.

Po miesiącu stara Anna zachorowała. Mgły zabijały ją; musiano wysłać ją na południe. Biedna dziewczyna, namiętnie przywiązana do matki mojej, nie mogła zdecydować się opuścić nas. Błagała, by ją zatrzymano, i obiecywała nie umrzeć. Wyprawiono ją przemocą. Przybywszy na południe, z rozpaczy wyszła za mąż.

Po wyjeździe Anny nie wzięto innej służącej, co mi się wydawało ostateczną nędzą... Żona odźwiernego przychodziła do cięższych robót; matka paliła przy kuchennym ogniu swoje piękne

rączki, które tak lubiłem całować; co do żywności, tę Jakób kupował. „Kupisz to i to,“ i bardzo dobrze kupował to i to, ale zawsze płacząc, rozumie się.

Biedny Jakób! Ten także nie był szczęśliwy. Pan Eyssette, widząc go zawsze we łzach, upatrzył sobie coś do niego i wciąż darzył klapsami... Cały dzień słychać było: „Jakóbie, bałwan jesteś! Jakóbie, jesteś osioł!“ W istocie w obec ojca Jakób tracił głowę. Usiłując wstrzymać się od łez, robił grymasy, które go haniebnie szpeciły. Głupiał ze strachu. Pan Eyssette przynosił mu nieszczęście. Oto scena z dzbankiem:

Pewnego wieczora, w chwili kiedyśmy mieli siadać do stołu, spostrzeżono, że kropli wody nie było w domu.

— Pójdę po nią, jeżeli trzeba, rzekł ten dobry Jakób.

I bierze wielki, kamienny dzban.

Pan Eyssette, widząc to, wzrusza ramionami:

— Jeżeli Jakób pójdzie — mówi — dzban będzie stłuczony, nie ma wątpliwości.

— Słyszysz, Jakóbie — powiada na to pani Eyssette, swoim spokojnym głosem — słyszysz, nie stłucz, uważaj dobrze.

Pan Eyssette odzywa się znowu.

— Oh! żebyś mu tam nie wiem jak mówiła, żeby nie stłukł, stłucze go z pewnością.

Na to Jakób płaczliwym swym głosem rzecze:

— Ale dla czegoż koniecznie ojciec chce, żebym stłukł?

— Ja nie chcę, żebyś stłukł; mówię tylko, że stłuczesz — mówi pan Eyssette tonem, który nie przypuszcza odpowiedzi.

Jakób nie odpowiada; gorączkowo chwyta za dzbanek i nagle wychodzi; jak gdyby mówił:

— Ah! stłukę go! Dobrze! zobaczymy!

Upływa pięć minut, dziesięć. Jakób nie wraca. Pani Eyssette zaczyna się niepokoić:

— Żeby mu się tylko co nie stało?

— Ba! Co mu się ma stać? — mówi pan Eyssette zrzędząc. — Stłukł dzbanek i nie śmie wrócić.

Ale mówiąc to gderliwym swym tonem, był to najlepszy w świecie człowiek, wstaje i wychodzi chcąc zobaczyć, co się stało z Jakóbem. Nie potrzebuje iść daleko. Jakób stoi na schodach, przed drzwiami, z próżnemi rękami, milczący, skamieniały. Widząc pana Eyssette, blednie i rozdzierającym, słabym głosem, oh bardzo słabym: „Stłukłem go!“ — powiada... Stłukł go...

W archiwach domu Eyssette nazywamy to „sceną dzbanka.“

Około dwóch miesięcy już bawiliśmy w Lugdunie, kiedy rodzice zaczęli myśleć o nauce naszej. Ojciec chciałby był bardzo umieścić nas w kolegium, ale kosztowałoby to za drogo. „A gdybyśmy posłali ich do szkółki kościelnej!— rzekła pani Eyssette; podobno niezłe to jest dla dzieci.“ Pomysł ten podobał się panu Eyssette, a że kościół Saint-Nizier znajdował się najbliżej, posłano nas do szkółki Saint-Nizier.

Bardzo to była przyjemna, ta szkółka! Zamiast jak w innych zakładach, opychać głowy nasze łaciną i greką, uczono nas służyć do mszy, śpiewać antyfony, przyklękać, zgrabnie kadzić, co bardzo jest trudnem. Było wprawdzie od czasu do czasu kilka godzin dziennie przeznaczonych na deklinacje i *Epitomę*, ale przedmioty te uważały się jedynie za dodatkowe. Byliśmy w szkółce tej głównie dla służby kościelnej. Raz przynajmniej na tydzień ksiądz Micon, między dwoma niuchami tabaki, mówił do nas z miną uroczystą: „Jutro, panowie, rano nie będzie lekcji. Pójdziemy na pogrzeb.“

Szliśmy na pogrzeb! Co za szczęście! Były też chrzciny, śluby, wizyta arcybiskupa, noszenie wiatyku do chorych! Oh! wiatyk! jakże dumnym był ten, którego używano do tej posługi!... Pod małym, z czerwonego aksamitu baldachimem szedł ksiądz, niosący hostją i oleje święte. Dwóch chłopców śpiewaków trzymało baldachim, dwaj inni szli koło niego z wielkiemi złoconemi latarniami. Piąty kroczył z tyłu, potrzęsając grzechotką. To ostatnie mnie zwykle powierzano... Na drodze, którą przechodził wiatyk, mężczyźni odkrywali głowy swe, kobiety klękały. Kiedy mijano odwach, straże wołały: „Do broni!“ żołnierze zbiegali się i stawali w szeregu. „Prezentuj broń!“ — wołał oficer.. — Muszkiety dzwoniły, bęben grzmiał. Trzykrotnie potrząsałem grzechotką moją tak jak na *Sanctus*, i przechodziliśmy mimo odwachu.

Bardzo to było zabawne, ta szkółka nasza. Każdy z nas miał w małej szafce całe ubranie duchowne: czarną sutanę z długim ogonem, albę, komżę z długimi, sztywnymi od krochmalu rękawami, pończochy czarne jedwabne, dwie czapeczki, jednę z sukna, drugą z aksamitu; rabaty haftowane małemi, białemi perełkami; jednem słowem wszystko.

Zdaje się, że kostium ten bardzo mi był do twarzy: „Śliczny jest w tem ubraniu“, — mówiła pani Eyssette. Na nieszczęście bardzo małego byłem wzrostu, i to mię doprowadzało do rozpaczy. Proszę sobie przedstawić, że podnosząc się na palcach nawet, nie sięgałem wyżej białych pończoch pana Caduffe, szwajcara naszego, a przytem tak byłem wątły!... Razu pewnego, podczas mszy, przenosząc księgę Ewangelji z jednej strony na drugą, padłem jak długi wraz z nią na stopnie ołtarza. Gruba, ciężka księga pociągnęła mię za sobą. Pulpit został złamany, nabożeństwo przerwane. Było to na Zielone świątki. Jakie zgorszenie!... Pomimo tych przykrości, jakie sprawiał mi mój mały wzrost, bardzo byłem zadowolony z losu mego, i często wieczorem, kładąc się spać, Jakób i ja mówiliśmy do siebie: „W ogóle, bardzo to zabawne, ta szkółka“. Na nieszczęście, niedługo w niej bawiliśmy. Przyjaciel jeden rodziców naszych, rektor uniwersytetu na południu, napisał do ojca, że może się wystarać dla jednego z nas o stypendjum w kolegjum Lugdunu, jeżeli ojciec chce tego.

— To będzie dla Daniela — rzekł pan Eyssette.

— A Jakób? — zapytała matka.

— Oh! Jakób! ten zostanie przy mnie. Będzie mi bardzo użyteczny. Zresztą, spostrzegam w nim chęć do handlu. Zrobimy z niego kupca.

Prawdę mówiąc, nie rozumiem, w czem ojciec dopatrzył w Jakóbie to mniemane upodobanie do handlu. W czasie owym nieszczęśliwy chłopak miał jedno tylko upodobanie do łez, a gdyby go zapytano... Ale nie pytano go, ani mnie również.

Co mnie naprzód uderzyło, kiedy przybyłem do kolegium, to to, że sam jeden tylko byłem w bluzie. W Lugdunie dzieci bogatych rodziców nie noszą bluz; mają je tylko dzieci uliczne, *gony*, jak je nazywają. Ja miałem bluzę, pochodzącą jeszcze z czasów fabryki, wyglądałem zatem jak gon... Kiedy wszedłem do klasy, uczniowie szyderczo zaśmiali się. Mówili: „Patrz, w bluzie!“ Profesor skrzywił się i od pierwszego razu powziął wstręt do mojej osoby. Odtąd ile razy zwracał się do mnie, nigdy nie mówił inaczej jak półgębkiem i pogardliwie. Nigdy nie nazwał mię po imieniu; mówił zawsze: Eh! tamten, tam, ten mały!“ Że dwadzieścia razy może powiedziałem mu, że się nazywam Daniel Ey-sset-te... Nakoniec, koledzy moi przezwali mię „Ten Mały“ i przezwisko pozostało... Przeklęta bluza!...

Nie samą bluzą tylko różniłem się od innych dzieci. Inne miały ładne teki z żółtej skóry, nowe książki z licznemi przypiskami u dołu; moje książki były stare, pomięte, cuchnące pleśnią, kupowane na straganach; okładki ich zawsze były porwane, czasem nawet kart brakowało. Jakób, jak umiał, oprawiał je na nowo w gruby karton, ale zawsze za wiele kładł kleju, co im nadawało bardzo nieprzyjemny zapach. Zrobił mi także tekę z mnóstwem kieszonek; bardzo była wygodna, ale zawsze za wiele kleju. Potrzeba klejenia stała się u Jakoba manią, tak jak potrzeba wylewania łez. Wciąż trzymał przed ogniem nieskończoną moc garnków z klejem, i jak tylko mógł umknąć na chwilę z magazynu, zaraz się brał do klejenia, naklejania, oprawiania. Oprócz, tego nosił pakunki do miasta, pisał za dyktowaniem, chodził po żywność, jednem słowem zajmował się handlem.

Co do mnie, zrozumiałem dobrze, że kto jest stypendystą, kto nosi bluzę, kto się nazywa „Tym Małym,“ musi pracować dwa razy więcej, chcąc stanąć na równi z innymi, i na honor, Ten Mały z całą odwagą wziął się do pracy.

Dzielny ten Mały! Widzę go jak zimą w pokoiku swoim, w którym nie było ognia, siedział przed stolikiem, kołdrą okrywszy nogi. Na dworze zimny deszcz uderzał o szyby. Z magazynu dochodził głos pana Eyssette, który dyktował:

„List pański z 8 tego miesiąca otrzymałem.“

I płaczliwy głos Jakóba, który powtarzał za nim:

„List pański z 8 tego miesiąca otrzymałem.“

Od czasu do czasu, drzwi pokoju otwierały się z cicha: pani Eyssette wchodziła niemi. Na palcach zbliżała się do tego Małego....

— Pracujesz? — mówiła doń po cichutku.

— Tak, matko.

— Nie zimno ci?

— Oh! nie!

Ten Mały kłamał; przeciwnie, zimno mu było.

Pani Eyssette siadała koło niego z pończoszką swą i całemi godzinami robiła ją, z cicha licząc oczka i ciężko wzdychając od czasu do czasu.

Biedna pani Eyssette! Wciąż myślała o tych drogich stronach swych, których nie miała nadziei oglądać więcej... Niestety! na swoje nieszczęście, na nieszczęście nas wszystkich, miała je ujrzeć wkrótce... (C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

Genewa, 8. września 1879.

(Północno-wschodnia część Szwajcarji. Kanton Saingallski. Rapperswyl. Muzeum polskie. Pomnik rewolucji narodowych. Zbiory. Sztychy Falka. Czytelnia. Biblijoteka. Biograficzne szczegóły o Alfonsie Daudet'cie. Juljusz Vallès. Jaques Vingtras. Kazimierz Hildt).

Po dłuższym pobycie w południowo-zachodniej części Szwajcarji, kiedy po za Zürichem

*

zwróciłem się koleją żelazną wzdłuż jeziora ku jego północno-wschodniemu brzegowi, wspomniały się mi żywo nasze ojczyste okolice. Wprawdzie, to było tylko pierwsze ogólne wrażenie. Złudzenie pierzchło, gdym się przypatrzył bliżej i szczegółowiej całej miejscowości. Gęste zabudowania, piękne kilkopiętrowe hotele, ogromne fabryki, staranna uprawa pól i ogrodów, widomy powszechny dobrobyt rychło przypomniały, że jesteśmy w pracowitej, zagospodarowanej i oszczędnej Szwajcarji.

Od Zürichu do Rapperswylu dziwne widzimy połączenie wielkiego fabrycznego przemysłu z gospodarstwem wiejskiem. Każda rzeczka, każdy strumień za pomocą śluzów, grobli i kanałów umiejętnie są zużytkowane jako motory fabryczne. We wsi Jonie pod Rapperswylem nad rzeczką tejże nazwy znajduje się pięć wielkich przędzalni w niewielkiej od siebie odległości. Przędzalnie kantonów zürichskiego i saint-gallskiego z powodzeniem współzawodniczą z najbardziej fabrycznemi krajami Europy. Wyroby ich idą do Ameryki, Niemiec, Włoch, Belgji, Turcji. Do utrzymania takiego przemysłu na wysokim stopniu rozwoju dopomagają dwa ważne warunki: taniość motorów i niska placa robotników. Ta ostatnia zależną jest od szczególnych miejscowych ekonomicznych stosunków. Robotników i robotnic do przędzalń tutejszych dostarcza okoliczna wiejska ludność, która prócz posiadanych gruntów ma jeszcze pewne zabezpieczenie w allmendach t. j. w gminnej własności, najczęściej lasach. Z tego powodu płaca fabrycznego robotnika nie stosuje się do niezbędnych potrzeb jego życia, lecz uważa się jako dodatkowy zarobek, wpływający do ogólnego dochodu całej wiejskiej rodziny.

Rapperswyl leży nad jeziorem Zürichskiem, w kącie kantonu saint-gallskiego, niedaleko od granicy jego z zürichskim. Małe to przemysłowe miasteczko, nie mające więcej nad 3000 mieszkańców, nabrało większego rozgłosu w Szwajcarji i pomiędzy turystami dopiero od czasu założenia w niem muzeum polskiego, które mieści się w starożytnym zamku hrabiów Rapperswylów.

Zamek, położony na wysokim cyplu, wsuwającym się do jeziora zürichskiego, majestatycznie góruje nad miasteczkiem i całą okolicą. Z tarasu przed zamkiem, porosłego lipami, na którym ongiś odbywały się sądy hrabiowskie, otwiera się piękny widok na jezioro i góry kantonów Szwyc i Glarus. Wejście na dziedziniec zamkowy zdobią dwa popiersia: królowej Jadwigi i króla Kazimierza Wielkiego. Na środku dziedzińca, zamkniętego z jednej strony wysokim murem, okrytym zielenią pnącego się wina i dźwigającym galerję strzelców, a z drugiej strony gmachem zamkowym, wznosi się kolumna żelazna z orłem białem u góry, rozpinającym skrzydła do lotu. Kolumna ta, dawniej marmurowa, wystawiona na pamiątkę konfederacji barskiej i następnych powstań narodowych, z stosownemi napisami w językach: polskim, łacińskim, francuskim, stała dawniej u końca samego cypla, zwrócona ku jeziorowi i zdaleka zwracająca już uwagę na siebie. Silne jednak burze, panujące na jeziorze, skruszyły kolumnę i musiano pomnik przenieść do bezpieczniejszego miejsca.

Urządzenie muzeum polskiego wraz z bibljoteką w Szwajcarji jest pomysłem Władysława hr. Platera. Z początku myślał o Zürichu jako najodpowiedniejszem do tego miejscu. Wyznaczony jednak przez gminę miejską plac znajdował się zanadto na uboczu, a tymczasem miasto Rapperswyl zaproponowało oddać ruiny swego zamku w bezpłatne posiadanie na 99 lat w celu urządzenia w niem zamierzonego muzeum. Propozycję ostatnią przyjęto i zrestaurowano dotąd parter i pierwsze piętro; drugie zaś i trzecie piętro czekają jeszcze na restaurację, na drugiem tylko kilka pokoików uporządzono, gdzie mieszka p. Józef Radomiński, kustosz i bibljotekarz zakładu.

Całe prawie muzeum i bibljoteka mieszczą się na drugiem piętrze w dwóch większych salach i czterech mniejszych pokojach. Już dzisiejsze zbiory wymagają więcej miejsca, a tymczasem, dzięki ofiarności prywatnej, ciągle przybywają nowe. Potrzeba więc dalszej restauracji zamku staje się rzeczą konieczną. I mniemać należy, że opiekunowie zakładu postarają się o to z całą swą gorliwością.

Muzeum posiada wiele cennych rzeczy, co tem godniejsze jest uwagi, że zakład istnieje niespełna od lat dziesięciu, i że zbiory jego przeważnie są darem prywatnych osób. Pomiędzy ofiarodawcami zasługuje na szczególniejsze wymienienie p. Bukowski, kupiec starożytnościami, ze Szwecji, ktory nie będąc wcale bogatym człowiekiem, uposażył zakład prawie trzecią częścią jego zbiorów, a w tej liczbie przesłał bardzo kosztowne pamiątki. Miasto Solura, przechowujące z wielką czcią pamięć po Tadeuszu Kościuszce, nadesłało do muzeum kilka pamiątek po tym bohaterze. Pani Capelli, z domu Dzieduszycka, darowała zakładowi piękny i kosztowny zbiór kameów, w których z wielkim artyzmem odtworzono wizerunki królów i wodzów polskich oraz ważniejsze sceny z historji narodu naszego — prawie zawsze skopjowane z obrazów słynnych naszych malarzy. Darem jej także jest bardzo kosztowny i piękny zbiór licznych monet polskich. Pomiędzy ważniejszemi pamiątkami wymienię: pałasz ks. Józefa Poniatowskiego, z którym utonął w rzece Elsterze; puhar, ofiarowany przez Gdańsk Batoremu; maski Lelewela i Bosaka; łóżko, w którem umarł Kościszko; biust tego bohatera, darowany mu przez wojsko; pióro orle, dar Serbów, drewniana statuetka Matki Boskiej i fajka, pozostałe po Mickiewiczu Ad. Oprócz pamiątek historycznych zawiera jeszcze w sobie muzeum niektóre okazy produkcji krajowej, które znajdowały się na powszechnej wiedeńskiej wystawie i ubiory ludowe niektórych miejscowości naszego kraju.

Bardzo cennym jest zbiór sztychów i rycin Jeremiasza Falka, znakomitego Gdańszczanina z pierwszej połowy XVII stul. Zajmują one dwie ściany jednego z pokojów. Cudzoziemcy podziwiają wysoki artyzm rysunków. Jeśliby artysta własnym podpisem: *Jeremi Falk Polonus* nie poświadczył o swojej narodowości, Prusacy niezawodnie przywłaszczyliby go sobie, jak to już uczynili z wielu innemi. W tymże pokoju znajduje się nadto fotograficzny zbiór wszystkich ważniejszych utworów Grottgera. Jest także trochę obrazów olejnych i dwie statuetki dłuta Brodzkiego.

Jeden z pokojów mieści w sobie czytelnię. Znajdujemy tu prawie kompletny zbiór tegoczesnych dzienników i czasopism polskich, wychodzących w kraju i zagranicą, z bardzo nielicznym wyjątkiem. Redakcje przysyłają je bezpłatnie do muzeum, a czynią to nie same tylko polskie; są więc w czytelni także gazety szwajcarskie, francuskie, niemieckie, włoskie. Dzienniki i pisma polskie leżą razem na jednym wielkim stole, cudzoziemskie na drugim mniejszym.

Bibljoteka muzeum polskiego w Rapperswylu oczewiście nie może iść w porównanie z wielkimi krajowymi księgozbiorami, ale dla pracujących po za krajem i nie mogących korzystać z jego bibljotek, przedstawia ona ważną pomoc, zwłaszcza dla tych, którzyby się zajęli dziejami Polski porozbiorowej: w tym względzie posiada ona nawet obfitszy materjał od zgromadzonego we Lwowie i w Krakowie. Szczególnie zbiory, w książkach i rękopismach, pozostałe po Leonardzie Chodźce, prawdziwie wzbogaciły bibljotekę rapperswylską. Rozpatrując się w zbiorach Chodźki, przerzucając książki opatrzone jego notatami, mając przed sobą stosy skopiowanych rękopismów, musimy podziwiać nadzwyczajną jego pracowitość. Tak np. do historji 1792 r. przepisane są pamiętniki: księcia Józefa Poniatowskiego, Kościuszki (podobno były drukowane w *Kronice emigracji polskiej*) z notatami Łagowskiego, króla Stanisława Augusta czyli raczej odpowiedź na czynione mu zarzuty, księcia Eustachego Sanguszki, Feliksa Trzeciaka, Ludomira Piotra Łagowskiego i księdza Kitowicza.

Muzeum polskie w Rapperswylu jest dość licznie przez cudzoziemców zwiedzane. Nie można tego powiedzieć o naszych współziomkach, mając na względzie dość znaczny ich poczet, który przybywa latem do Szwajcarji. W czasie mego miesięcznego pobytu w Rapperswylu, w przecięciu zwiedzało muzeum dziennie po dwadzieścia osób (podobno z powodu niepewnej pogody w tym roku było mniej zwiedzających aniżeli w poprzednich latach); rodaków zaś było zaledwie kilkunastu w przeciągu całego tego czasu.

Ponieważ *Tydzień Polski* zapowiedział przekład najnowszej powieści Alfonsa Daudet'a: *Les rois en exil*, która już się zaczęła pojawiać w odcinku dziennika *Le Temps*, i ponieważ zamierza — ile wiem — zapoznać czytelników swoich z jednym z najznakomitszych utworów tegoż Daudet'a: *Le petit chose*, przeto mniemam, iż właściwą będzie rzeczą przypomnieć niektóre biograficzne szczegóły z życia znakomitego powieściopisarza, dzisiaj może najwięcej ulubionego we Francji.

Le petit chose ma tem większe znaczenie, że w pierwszej swojej połowie jest dokładną autobiografią samego autora. Daniel Eyssette jest to Alfons Daudet; Jakób, brat Daniela, jest to Ernest, brat Alfonsa.

Alfons Daudet ma obecnie 39 lat, urodził się bowiem na południu Francji w Nimes w 1840 r. Ojciec jego, fabrykant mydła, zachwiany w swych pieniężnych interesach, po 1848 r. musiał sprzedać fabrykę swoją i przeniósł się do Londynu na mieszkanie. Tam Alfons z Ernestem chodzili do gimnazjum. Tymczasem położenie finansowe starego Daudet'a pogorszało się coraz bardziej. Wreszcie rodzina musiała rozpierzchnąć się na wszystkie strony, szukając gdzie można zarobku. Alfons, na rekomendację przyjaciela ojca swego, rektora w Nimes, otrzymał w Kolegium w Sarlande posadę tak zwanego *maitre d'étude*. Jest to coś gorszego niż suplent w Galicji. *Maitre d'étude* stanowi coś pośredniego pomiędzy bedelem i korepetytorem. Uczniowe nazywają go *pionem*. Profesorowie lekceważą nim, a władza traktuje go niemal gorzej od stróża. Nieszczęśliwą tę istotę, która najczęściej mści się na najbliższych sobie osobach za wszystkie w swym

zawodzie doznawane krzywdy, opisał znakomicie Juljusz Valles (Jean La Rue) w najnowszym swoim utworze: *Jaques Vingtras* (Paris, 1879).

Młody Daudet nieraz łzami opłakiwał gorzko zapracowany chleb w Kolegjum sarlandzkiem. Położenie jego było tem przykrzejsze, że ani postawą ani wiekiem nie mógł nikomu zaimponować. Wreszcie wypędzono go haniebnie z zakładu za słuszne skarcenie zuchwałego ucznia, syna jednego z miejscowych arystokratów. Alfons stanął nad brzegiem czarnej przepaści z myślą o samobójstwie. Uratowała go opiekuńcza ręka Ernesta, który dostawszy w tym czasie posadę prywatnego sekretarza w Paryżu, przywołał go do siebie.

Alfons Daudet, który jest, jednym z Koryfeuszów dzisiejszego naturalizmu, zaczął swój literacki zawód od fantastycznych poezyj. Zwróciły one na niego uwagę cesarzowej Eugenii i dały mu posadę prywatnego sekretarza u hrabiego Morny'ego. Odtąd rozpoczyna się nowa epoka w życiu Alfonsa, epoka pełna swobody, szczęścia i sławy. W samej pracy pozyskał ważną pomoc i zachętę w osobie swojej żony, Julji Allard, uprawiającej także niwę literacką.

Pierwsza większa powieść Daudet'a, pisana już w duchu realistycznym, pojawiła się w 1873 r. jej: Tytuł *Fromont jeune et Risler ainé.* Doznała ona wielkiego powodzenia od razu. Akademja francuska uwieńczyła ją w 1875 r. nagrodą monthyonowską. Daudet pierwszym był pisarzem, co otrzymał tę nagrodę. Następne dwie powieści: *Jack* i *Le Nabab* ustaliły jego sławę jako pierwszorzędnego powieściopisarza.

Jaques Vingtras, o którem już wspominałem, poświęcone jest „wszystkim, którzy cierpieli w szkole lub mieli wiele do znoszenia w domu, którzy w czasie swego dzieciństwa byli tyranizowani przez nauczycieli lub bici przez rodziców.“ Jest to historja chłopca, który od najmłodszych lat pokutował skórą swoją za nędzę, z którą matka w domu walczyć musiała, za upokorzenia, które znosił w szkole jego ojciec, zajmujący posadę *meitre d'étude*, za cierpkość stosunków, która się wywiązała pomiędzy jego rodzicami. Zdawało mu się nieraz, że matka nienawidziła go, tymczasem w rzeczywistości ona go kochała; ale będąc kobietą niewykształconą, ograniczonych pojęć, stępionych uczuć nieustannemi kłopotami i zgryzotami w domu, nawet w zapobiegliwości swojej macierzyńskiej sprawiała mu mnóstwo udręczeń. Oszczędność swoją posuwała aż do skąpstwa, które stawało się często przyczyną cierpień jej syna, i czyniła to wszystko, właśnie chcąc złożyć na przyszłość dla niego mały kapitalik. Ojciec jego, rozdrażniony nieustanną wojną z malcami, pogardliwem postępowaniem władz swoich, swarliwem usposobieniem żony, wybuchał gniewem za lada przewinieniem swego syna i ze złością karał go dotkliwie. W takich warunkach odbywało się domowe wychowanie Jakóba Vingtras'a.

Szkoła do dawnych udręczeń dołączyła nowe. Będąc w klasie, znajdującej się pod nadzorem swego ojca, wiele cierpiał za niego i od niego. Dla kolegów był synem *piona*, dla profesorów *le petit chose*, dla władzy — miał służyć szyldem dla zakładu. Mając pociąg do pracy ręcznej, do zajęć wiejskich, musiał wbrew swoim skłonnościom napychać swą głowę wokabułami greckiemi i gramatyką łacińską. Chciał być rolnikiem albo kowalem w bluzie, a z niego gwałtem starano się zrobić profesora a przynajmniej *maitre d'etude!*

Jules Vallés, znany dotąd jako niepospolity publicysta, dał się poznać w tym roku szerszemu kołu czytelników jako pisarz beletrystyczny, pełny talentu i humoru, a przytem mający właściwą sobie niezwykłą formę szkicowania. Jego *Mémoires d'un révolte* (par Jean La Rue) znalazły wielkie powodzenie i zachęciły Charpentier'a do wydania jego: *Jaques Vingtras.* Trzeba wiedzieć, że Charpentier, jeden z wykształconych księgarzy paryskich, stara się wydawać tylko rzeczy wyborowe. Być wydanym przez Charpentier'a, uważa się za wielki zaszczyt.

W końcu zeszłego miesiąca, 26 sierpnia, pochowaliśmy jednego z naszych rodaków, Warszawianina, Kazimierza Hildta, na cmentarzu w Carouge niedalego od mogiły jenerała Bosaka-Hauke'go. Hildt umarł, mając zaledwie 26 lat. Dobrze znany w kołach młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie z zamiłowania swego sprawy publicznej, w 1875 roku skończył wydział prawny. Lecz następnie porzucił tę gałęź wiedzy i zajął się kwestjami społecznemi. Przetłumaczył Lassalle'a: *Kapitał i praca*, i zajął się tłómaczeniem: *Kapitału* — Marksa, najtrudniejszą część którego już ukończył. Przytem nosił się z myślą ułożenia dokładnej ludnościowej statystyki w prowincjach polskich z szczegółowym podziałem: podług zatrudnień, stopnia zamożności, społecznego stanowiska itd., i zbierał w tym celu potrzebne materjały. Śmierć zabrała nam tego pożytecznego i sumiennego pracownika. Pomimo ulewnego deszczu, dość znaczna liczba rodaków i różnej narodowości współwyznawców jego przekonań odprowadziła go na cmentarz z dworca kolei żelaznej, po przywiezieniu tegoż dnia zwłok jego z Charens, gdzie umarł 23 sierpnia. Nad trumną przemawiano po polsku, francusku i rosyjsku. Genewski *Précurseur* i Zürichski *Tagwacht* umieściły serdeczne o Hildzie wspomnienie.

B. L.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Poczciwy nasz Lwów tak zhardział w tym tygodniu, że jak to mówią nie przystępuj do niego bez kija. Pierwszy targ zbożowy na sposób europejski urządzony udał się i to tak świetnie, że całe miasto, nie wyłączając durnego Janka, chodzi z uśmiechniętą twarzą, zacierając ręce. Towarzystwo gospodarskie jako inicjator odrazu podniosło głowę do góry, szlachta mości dobrodzieju pokręca tylko wąsa, szlachcianki à conto dobrych interesów kupują suknie u p. Szweicerówny, a kapelusze u panny Szałkiewicz; żydzi zaś na wałach o niczem innem nie mówią jak o Weizen, Raps, Gerste i rejnysz...

Zjechało się tedy szlachty huk z woreczkami zboża na próbę, z pudełkami z chmielem, a naturalnie z żonami i córkami. Zjechało się mnóstwo żydów w tużurkach i hałatach z biletami wizytowemi i wszystko to brało na poty w obszernej ratuszowej sali. Mówiąc słowami pewnego radcy miejskiego, było tam fizyczne i moralne ciepło nie do zniesienia.

Kto nie był nigdy na giełdach zagranicznych, ten doprawdy mógł dostać zawrotu głowy i nadwerężyć sobie bębenki uszu. Formalny rozgardjasz trwał tam przez całe dwa dni; wszystko to latało, wrzeszczało, wydzierało sobie próbki, potrącało się ze znaną faktorską zajadłością. Obywatele byli w prawdziwem oblężeniu, ale trzymali się wyczekująco, bo naprawdę trudno im się zorjentować czy istotnie ci ludzie kupować chcą ich zboże, czy tylko tak sobie dla fantazji, aby miastu nie robić wstydu. Otóż pokazało się, że kupowali na prawdę i do Kolonji i do Berlina i do Pragi, kupowali i płacili, daję słowo, płacili gotówką. Mości dobrodzieju sześćdziesiąt tysięcy korcy poszło do ludzi jak nic, a nawet i spirytusu coś cztery tysiące wiader. Koniec końców to co meldowano w sekretarjacie targowym i to co przeszło cichaczem, to stanowiło obrót miljonika guldenów... Płci pięknej mojżeszowego wyznania nawet nie zabrakło, uwijało się kilkanaście matron po sali magistrackiej, a nawet w kasynie, gdzie fundowały sobie melanż. Tym więc sposobem całe miasto jest zadowolnione z targu, prócz c. k. komisji podatkowej, która przy tym milionowym obrocie nie mogła nic utargować, ani zarobkowego, ani dochodowego, ani dodatków, stempli itp. akcessorji. Smutna to rzecz dla fachowego fiskalisty, patrzeć, słuchać jak ludzie zarabiają i nic nie nałożyć... Ale trudna rada, kupcy to nie diurniści, którym łatwo z tej nędznej dziennej płacy coś potrącić.

Nie chcę tu więcej rozszerzać się nad korzyściami odniesionemi z tego pierwszego targu przez świat, Lwów i żydków, bobym mógł zepsuć humor przyjaciołom naszym z pod Wawelu, którym podobne tryumfy nasze spać nie dają. Będą i oni mieli swoje żniwo moralne i materjalne podczas obchodu jubileuszu Kraszewskiego, ale takie dwa grzyby w barszcz nie zaszkodziłyby ich zdrowiu.

Otóż z powodu tego jubileuszu i z powodu niezwykłej buty Lwowian zepsutych powodzeniem kiedyś wystawy a dziś targu produktów, słyszeliśmy charakterystyczną rozmowę w cukierni między dwoma warchołami.

— Ty, słuchaj co oni tu piszą w *Czasie*, że na obchodzie jubileuszu nie wszyscy mogą wszystko widzieć. Ci co będą w kościele już nie będą na obiedzie, a ci co zobaczą przyjęcie deputacyj, już nie będą mogli ani jeść ani się modlić... To mi rzecz. Na cóż u licha budowali sukiennice żeby się w nich parę tysięcy osób zmieścić nie mogło.

— Eh bo to w Krakowie — odpowiada mu drugi — na takie rzeczy rozumu nie mają. Żeby tak u nas, tobyśmy cały plac Jabłonowskich płótnem nakryli i wszyscyby się pomieścili. Pamiętasz, jak my to dla Poznańczyków wybudowali teatr umyślnie...

—Prawda —rzekł na to pierwszy z uśmiechem tryumfu — co oni tam potrafią. I jakże to jechać, jeżeli człowiek musi się kontentować albo mszą, albo obiadem, albo nie widzieć Kraszewskiego... U nas to co innego... strawiliśmy milion w dwa dni, i ani znaku!

Razem ze zbożowym targiem Towarzystwo Gospodarskie urządziło walne zebranie w gmachu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Głównym przedmiotem obrad było spodziewane zamknięcie granicy dla bydła stepowego z Rosji. Teraz, szanowni gospodarze całemi siłami wystąpili przeciw temu zamknięciu, dopatrując w niem dobicie Galicji, szczególniej przemysłu gorzelnianego, który przeważnie woły na opasy sprowadza z Ukrainy i Bessarabii. Dawniej, pamiętamy, taż sama wolność sprowadzania bydła tak samo zabijała u nas chów inwentarzy, a zamknięcie

granicy miało właśnie podnieść gospodarstwa nasze. Dziś rzeczy się przewróciły do góry nogami i mamy zapowiedzianą ruinę. Dogodź że tu ludziom. Taż sama historja była ze zniesieniem cła od zboża rossyjskiego; krzyczano, wołano, że handel się zabija, że szukamy celników i formalności komorowe utrudniają przewóz. Nareszcie zniesiono cło—i jeszcze gorzej... Wołają znów ustanowić cło nagwalt, bo kraj nasz jako rolniczy ginie od konkurencji. I dalejże występować z żądaniami do delegacji naszej, aby granicę dla bydła przez swoje upominania się w parlamencie otwarła, a dla zboża zamknęła... Pokazuje się, że w tym wypadku można zastosować do nas anegdotkę o tej tancecznicy której fartuszek w tańcu przeszkadza. Na miłołć Boską, trzebaż raz mieć jakąś konsekwencję i dobrze się namyśleć nim się ma czego żądać, a potem nie żałować.

Pomimo grubej mgły jesiennej i politycznej jaka nam co rano zaciemnia horyzont, wyborcy lwowscy dostrzegli jednak starą swoją gwiazdę poselską w osobie Dra Franciszka Smolki. Komitet ściślejszy rozszerzywszy się na obszerniejszy znaczną większością głosów, postawił jako jedynego kandydata na posła do Rady państwa tego zasłużonego dla kraju męża, który, wyrażając się słowy pewnego mówcy naszego, godzien jest stanąć koło samego siebie, jako reprezentant stołecznego miasta Galicji..

Miss Wanda zrobiła tu furorę: starzy i młodzi, panie i panienki znaleźli jej elukubracje gimnastyczne bardzo zabawnemi, interesującemi, a nawet pouczającemi. Mając przed oczami dotykalny przykład, że w czasach nawet tak płodnych w wielkości świata tego, można się wybić na wierzch i sławę znaleść wywijając dobrze nogami i młynkując zręcznie brzydkim egzemplarzem rodzaju ludzkiego. Wiele pań naszych to młynkowanie w powietrzu mężczyzną, uznało za bardzo praktyczne. Otóż jesteśmy w obawie, czy nie zechcą po odjeździe tej pani popróbować na mężach podobnej manipulacji.

W końcu musimy jeszcze powrócić do targu zbożowego, i powiadomić czytelników, że jedyny produkt miasta Lwowa, jaki Prusacy uznali godnym zakupna u nas, były otręby. Tak, niestety, dziesięć wagonów tego produktu zakupiono z tutejszych młynów do Berlina. Jest to bardzo szczęśliwy początek, albowiem nie brakuje nam otrąb pod każdym względem, i jeżeli Prusacy tak bardzo w nich zasmakują, to po pszennych możemy im ofiarować polityczne, naukowe, dziennikarskie a wreszcie i literackie. Sam uniżony wasz kronikarz tygodniowy gotów jest za bardzo niską cenę odstępować z wagon pełne 100 kilo co tydzień, i ani Tydzień Polski, ani jego szanowni czytelnicy nic a nic na tem by nie stracili. Należy się przeto pełne uznanie panu Thomowi, właścicielowi tutejszego młyna parowego, że zrobił tak dobry początek; jest bowiem nadzieja, że w miarę wywozu tej lekkiej inteligencji ze Lwowa, rdzeń ziarna umysłowego coraz bardziej oczyszczać się będzie.

Drugim produktem już nie Lwowa ale całej Galicji, jest chmiel, którego wystawa prawdziwy zaszczyt nam przynosi. Niech i on idzie do Niemiec na podchmielenie głów naszych przyjaciół — szczerze im tego życzymy, bo to jest chmiel prawdziwie czeski, lojalny, dzisiejszy, nie ten który przez lat szesnaście zawracał głowy Czechom, skutkiem czego zamiast iść do Rady państwa, spoglądali oni na Petersburg i komitet panslawistyczny. Czechy wytrzeźwieli z moskalofilstwa, zatem być może, że i nam po kilku latach trochę zaświta w głowach, a wtedy przetarłszy oczy, nie wszystko będzie nam się wydawać tak pięknem, co nosi czarno-żółte kolory.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Ateneum w zeszycie za m. wrzesień zawiera: I. Zabiegi cesarza Maksymiljana II o koronę polską, przez Teodora Bierzkowskiego. II. Wśród białej nocy. Ustęp z wycieczki tatrzańskiej, przez Bronisława Reichmana. III. Stosunki gminne w Galicji, przez Józefa Kleczyńskiego. IV. O pojęciu, zadaniu i stanowisku historji, przez Stanisława Smolkę. V. Najznakomitsi komedjopisarze hiszpańscy, przez Juljana Adolfa Święcickiego. VI. Siła jako ruch, studjum z filozofji fizyki, przez Juljana Ochorowicza. VII. Kanalizacja i zaopatrzenie w wodę m. Warszawy, przez W. Sołtana. VIII. Literatura dla ludu za r. 1878, przez Florjana Łagowskiego. IX. Kronika naukowa.

*** Bibljoteka Warszawska w zeszycie za m. wrzesień zawiera: I. Kazimierz Władysław Wójcicki, przez Ernesta Świeżawskiego. II. Cnota i występek. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. III. Antoni Oleszczyński, przez Sewerynę z Żochowskich Duchińską. IV. Przemysł cukrowniczy w Król. Polskiem przez Antoniego Wrotnowskiego. V. Z podróży i przechadzek po południowo zachodniej Norwegji, z luźnych notatek spisał Stanisław Bełza. VI. Romantyzm angielski XIX wieku, przez Feliksa Jezierskiego. VII. Z dziedziny przyrodoznawstwa przez T. Skomorowskiego. VIII. Kronika Lwowska, przez Władysława Zawadzkiego. IX. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. XI. Nekrologja. XII. Od redakcji.

*** W handlu księgarskim świeżo ukazała się nakładem A. Pajewskiego dwutomowa powieść Zaccone'a pod tytułem: „Walka o życie“, przełożona z francuskiego przez p. Józefa Śliwowskiego.

Opowiadanie to jest efektownem, szczególniej ciekawym jest w niem opis dna oceanu.

*** *Koresp. Płocki* pomieszcza zajmujące studjum p. Fr. Olszewskiego, na źródłach w archiwum płockiem się znajdujących oparte, p. t. „O cechach.“

*** Znajdujące się od 1868 roku w angielskim banku rękopisy Thiersa mają objętości 2000 stronic; stanowią one notatki do wielkiego dzieła filozoficznej treści.

*** W Berlinie w sali posiedzeń królewskiej akademji umiejętności rozpoczęły się obrady kongresu astronomicznego. Wiele powag naukowych z różnych części Niemiec, a także z Austrji, Węgier, Czech, Anglji, Francji, Rosji, Belgji, Holandji, Danji i Szwecji bierze żywy udział w pracach kongresu. Zagaił obrady czasowy przewodniczący profesor St. Krüge, dyrektor obserwatorjum w Gocie. Po nim przemówił minister oświaty. Obrady są ściśle naukowej natury.

*** W Saint-Gall (Szwajcarja) odbywa się wystawa geograficzna, w której wzięli udział wydawcy szwajcarscy i wielu zagranicznych.

Prasa perjodyczna.

*** W Warszawie ma wychodzić nowe pismo dla dzieci. Wydawnictwo to ma prowadzić panna Ludwika Haukówna.

Tytuł „Wieczory rodzinne“ — pierwszy numer ukaże się na Nowy-rok.

*** Przed berlińskim trybunałem sądowym roztrząsano w tych dniach sprawę byłego odpowiedzialnego redaktora „Berliner Zeitung,“ pana Reinsdorfa, oskarżonego o obrazę ks. Bismarcka. Wspomniona gazeta pomieściła w dniu 19 lutego artykuł wstępny p. t. „Von der Bierbank des Reichskanzlers,“ rozbierający jakoby wyrażone przez kanclerza opinje na obiedzie danym u siebie. Pierwsza instancja skazała oskarżonego na 4 tygodnie więzienia. Obecnie trybunał zmienił wyrok i skazał Reinsdorfa na 300 marek grzywny, albo 20 dni więzienia.

Sztuki piękne.

*** W sferach muzycznych Warszawy krąży wieść, iż prócz przedstawionego pierwotnie Aleksandra Zarzyckiego, kandydują nadto o dyrektorstwo konserwatorjum warszawskiego pp. Antoni Kątski i Zygmunt Noskowski.

*** W wystawie filji zakładów Ungrowskich w Warszawie znajdują się dwa płótna Tadeusza Ajdukiewicza.

Wyszły one przed chwilą prawie z pracowni utalentowanego artysty.

Tak „Obóz na puszczy“ jak i postać o rysach wschodnich, mają wdzięk istotny i noszą stempel wprawnego pędzla.

*** „Bitwa pod Grunwaldem“ Matejki, przed wysłaniem do Ameryki, ma być jeszcze wystawioną w Poznaniu, Peszcie, Pradze i Paryżu.

*** W Dreźnie urządzono wystawę kopji obrazów Rafaela; oprócz płócien nadesłanych z gabinetów królewskich w Dreźnie i Monachjum, znajduje się tu jeszcze 1873 reprodukcji oryginałów olejno, sposobem akwarel rycin i fotografji.

*** Książę na Raciborzu, z kilkoma artystami, projektują wystawę powszechną sztuk pięknych w Berlinie w 1882 roku.

*** W Paryżu w roku bieżącym, podobnie jak w 1877, odbędzie się konkurs muzyków francuskich na napisanie popularnej symfonji z chórami; autor kompozycji uznanej za najlepszą otrzyma 10,000 franków nagrody.

Teatr.

*** Rossi zachwyca obecnie Brazylijczyków w Rio-Janeiro.

*** W Wiedniu rozpoczął ćwiczenia na wyciągniętej linie, słynny sztukmistrz Blondin.

*** Carlotta Patti oddała swą rękę znanemu wiolonczeliście Pawłowi de Munck; młoda para zamyśla poświęcić miodowe miesiące koncertom w Australji.

*** W teatrze Châtelet wystawiono afrykańską sztukę „Czarna Venus“ — jak afisz głosi — „Podróż po środkowej Afryce“ w 5 aktach a 12 obrazach. Dyrekcja rozwinęła nieznaną dotąd w kronice teatrów wystawę. W akcji bierze udział kilkaset osób. Sprowadzono też *ad hoc* mnóstwo zwierząt z głębi Afryki.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Fundusz, z którego utworzonym zostanie stypendjum wieczyste prywatne imienia J. I. Kraszewskiego, powiększa się bezustannie.

Do ofiarodawców przyłączyła się w tych dniach i pewna część urzędników warszawskiego banku handlowego.

Złożyli oni w redakcji *Tygodnika Ilustrowanego* pięćdziesiąt dwa ruble na cel powyższy.

Fundusz stypendjalny wynosił w zeszłym tygodniu 3,250 rs. w listach zastawnych oraz w gotówce 284 rs. 90 kop.

Obecnie przybywa doń dar prawników polskich, którzy, jak donosi jedno z pism, ofiarowali sto pięćdziesiąt rubli.

*** W kaplicy króla Jana Sobieskiego w Wiedniu, odbyło się b. m. jako w rocznicę oswobodzenia Wiednia od Turków, pamiątkowe nabożeństwo. Mszę celebrował ks. Urba, proboszcz z Schottenfeld, który corocznie od lat 43 odprawia w tym dniu mszę w tej kapliczce. Publiczności polskiej było niestety bardzo mało.

*** Pomnik dla Jana Sobieskiego w Wiedniu! Znany i bardzo popularny pisarz niemiecki Antoni Langer, podniósł projekt wystawienia pomnika dla króla Jana Sobieskiego, oswobodziciela Wiednia, z powodu mającej się odbyć w roku 1883 uroczystości dwóchsetletniej rocznicy oswobodzenia tego miasta od Turków.

Pomnik ma stanąć na placu przed nowym ratuszem przy ulicy Francensring.

P. Langer proponuje umieścić na jednym piedestale „wszystkich trzech oswobodzicieli Wiednia“, a mianowicie króla Jana Sobieskiego, hr. Stahrem-

berga i księcia Lotaryńskiego, w stojącej pozycji trzymających się za ręce.

W grupie tej stoi książę Lotaryński w środku, po prawej stronie hr. Stahremberg, po lewej zaś król Jan Sobieski.

Na piedestale stoi napis:

DEN RETTERN WIENS
anno 1683
die
dankbaren
Bürger von Vien
im Jahre
MDCCCLXXXIII.

Pomnik ma być ulany ze spiżu z armat, zdobytych w r. 1683 pod Wiedniem na Turkach, które przechowane są w tutejszym arsenale.

Nie myśląc bynajmniej sprzeczać się w tej chwili, komu należy się właściwie palma zwycięztwa w potrzebie wiedeńskiej — zapisujemy sam fakt pamięci o naszym wielkim bojowniku w prawdziwą przyjemnością.

⁂ Książę bułgarski Aleksander I. zwiedził, niedawno w Tirnowie kościół katolicki, a mając przedstawionych sobie kilku misjonarzy, rozmawiał z jednym łaskawie. Usłyszawszy zaś, iż w kółku tem znajduje się jeden kapłan z Galicji, przemówił do niego po polsku. Książę wychowany przez matkę Polkę (Zofję Hauke) płynnie wyraża się polskim językiem, co mu pomogło do nauczenia się w krótkim czasie bułgarskiej mowy.

⁂ Kwestja: czy dzieci wysyłanych na osiedlenie w głąb Rossji i na Syberję starsze nad lat 14 winny być wysyłane razem z rodzicami i czyim kosztem — została obecnie rozstrzygniętą przez Senat rządzący w Petersburgu. Dzieci do lat 21, t. j. do pełnoletności, wyjąwszy córek za mąż przed dojściem do tego wieku wydanych, mają być na zasadzie ogólnych praw wysyłane wraz z ojcem i matką. Koszt wysyłki ponosi wysyłająca instytucja gminna. Decyzja ta motywowaną jest tą zasadą ogólną, że żona i dzieci do pełnoletności zależne są i zostają pod władzą głowy rodziny, a wykluczający ze swego społeczeństwa ojca rodziny wyklucza zarazem żonę i dzieci, za których podróż do miejsca przeznaczenia jak i za podróż ojca zapłacić winien.

⁂ Uroczystość odsłonięcia pomnika Palackiego w Rożnowie. Już przed rokiem rozeszła się wiadomość, że miasto Rożnów chce uczcić pomnikiem sławnego historyka czeskiego, Palackiego, którego miejsce rodzinne w bliskości się znajduje. Z dziwnego powodu wyszedł wówczas zakaz uczczenia zasłużonego męża czeskiego. Dopiero tego roku uzyskano pozwolenie i wystawiony pomnik został odsłonięty d. 7. b. m. Na uroczysty obchód ten zgromadziło się wiele gości z całej Morawy, przybyły liczne deputacje miast, stowarzyszenia spiewackie, różne korporacje i banderyj konnych nie brakło. Z Pragi przybył dr. Rieger z córką, i jako członek rodziny Palackiego z zapałem był witany. Oprócz tego byli reprezentanci z Czech, Szlązka i Słoweńska. Miasto Rożnów przystroiło się chorągwiami. Sam pomnik wystawiony jest w pięknem położeniu na wstępie do parku. Kapelan miejscowy ks. Przybyl w mowie uroczystościowej wyszczególnił zasługi Palackiego, któremu Czechy zawdzięczają swoje odrodzenie po ciężkiem pognębieniu ducha narodowego. Z okrzykami radości zaspiewano „Kde domov muj,“ i złożono wieńce na pomniku. Nastąpił potem wspólny objad, w którym wzięło udział 150 osób, a wśród toastów podniósł także dr. Rieger zasługi Palackiego, jako Morawianina a wielkiego Czecha.

⁂ Warszawski „Kurjer Świąteczny zamieścił na ostatniej stronnicy rycinę godną poważnego rozmyślania panów pedagogów.

Przodem rusza do szkoły płaczący rzewnemi łzami maluczki pierwszo-klasista; za nim zaś dwaj posłańcy publiczni dźwigają na noszach ogromny stos książek i kajetów, które mają być. .

Szczególna metoda ogromu nauki z ogromu książek, wybornie na tej rycinie pochwycona...

⁂ Pod imieniem Antychrysta uwijał się od kilku miesięcy po wioskach południowo-węgierskich wszędzie znajdując ślepe zaufanie i oddanie się ciemnego ludu, szesnastoletni chłopiec, który wydawał się za znachora i cudotwórcę, przyczem rozwinął spryt podziwiania godny, tak iż z trudnością dopiero schwytano go w Nagyfalu. Młody oszust odbywał pielgrzymki „nabożne“ w towarzystwie dwunastu „djakonów“, których ludność wszędzie zaopatrywała w żywność. W sądzie „Antychryst“ zeznał bezczelnie, że jest sługą świętego Eljasza, któremu pomaga „przesuwać chmury“.

⁂ Kossut niebezpiecznie zachorował.

⁂ W Zala Egerszeg odbyło się w dniu 1. b. m. uroczyste odsłonięcie pomnika ku czci Franciszka Deaka.

⁂ Donoszą nam o zgonie znanego w francuskich kołach artystycznych i literackich, barona Taylora.

Działalność tego człowieka była do zadziwienia wielostronną.

Władał on piórem, ołówkiem i pędzlem i... mieczem.

Wsławił się też jako dzielny organizator towarzystw pomocy dla literatów, malarzy, muzyków i artystów dramatycznych.

Stowarzyszeń tych był prezesem.

Taylor doczekał się sędziwego wieku, przeżył bowiem lat dziewięćdziesiąt.

Był senatorem, wolnym członkiem akademji sztuk pięknych i komandorem legji honorowej.

Jednocześnie prawie zakończył życie w Paryżu znakomity karykaturzysta, Amadeusz de Noe, znany pod pseudonimem Chama.

Od 1841 roku nie przestawał on zasilać wielu pism francuskich utworami swego ołówka.

Karykatury Chama wsławiły jego imię szeroko.

Wielu braci w sztuce starało się je naśladować, ale daremnie...

Cham był osobistością niezmiernie oryginalną.

Bonapartyzmowi służył do końca z niezachwianą wiarą, republikańskie dzienniki oszczędzały go przecież...

W pogrzebie sławnego rysownika Chama wziął udział cały prawie Paryż; zmarłemu jako kawalerowi legji honorowej, oddawano honory wojskowe.

Wynalazki i odkrycia.

⁂ Jeden z obywateli ziemskich zamieszkałych w pobliżu Warszawy wynalazł motor powietrzny zużytkowujący w wielce korzystny sposób siłę wiatru.

Motor ten, jak twierdzi wynalazca, może nawet zastąpić maszyny parowe tam, gdzie nie potrzeba ścisłej jednostajności w działaniu.

Nowy motor ma być tańszy i lżejszy od maszyn parowych i może podobno znaleźć zastosowanie przy poruszaniu młynów, sieczkarni, tartaków, pomp, statków rzecznych.

Wynalazca zamierza wejść w układy, z którą z fabryk o budowę swych maszyn.

Cieszylibyśmy się serdecznie gdyby rzecz ta nie okazała się tylko... mrzonką!

⁂ Pisma warszawskie donoszą że włościanie wsi Koniawy, w pow. nowo-radomskim, na pastwisku stanowiącem własność osady Koniecpol, znaleźli sto ośm sztuk starożytnej srebrnej monety z XVII i XVIII wieku.

Monety owe były zakopane w ziemi.

Odesłano je do komisji archeologicznej w Petersburgu, w celu określenia wartości numizmatów i oznaczenia wynagrodzenia należnego znalazcom.

⁂ Na lewym brzegu Wołgi niedaleko Uglisza znaleziono w ziemi skarb, składający się ze starożytnych monet w formie trójkąta. Monet było około sześciu funtów. Skarb znaleziony został przypadkowo przez rybaków.

⁂ W londyńskim urzędzie patentowym zameldowano w roku ubiegłym 6340 nowych wynalazków, a zatem o 394 więcej aniżeli w roku poprzedzającym.

Podróże.

⁂ Z Londynu piszą; Kapitan Cheyenne, oficer marynarki angielskiej, który odbył już wiele wypraw pod biegun, stara się obecnie urządzić wyprawę do bieguna północnego za pośrednictwem balonu.

Miał on w tym przedmiocie sporo odczytów w Anglii, oraz przedstawił swoje projekta towarzystwu brytańskiemu w Sheffield, gdzie w oddziale jeograficznym wywołał prawdziwą burzę. Jeden z oficerów, należących do wyprawy podbiegunowej kapitana Noresa, porucznik Beaumont, zbijał wnioski kapitana Cheyenne z gwałtownością wcale nie parlamentarną.

Kapitan Cheyenne zebrał drogą składek znaczny fundusz na koszta wyprawy, a wkrótce zamierza udać się do Kanady, aby tam również mieć odczyty.

Świeżo wydrukował on list w „Times'ie“, w którym dowodzi, że wypadek, jaki zdarzył się z balonem paryskim, nie wynikł bynajmniej skutkiem budowy tego przyrządu—a więc nie może świadczyć na niekorzyść projektu.

Zresztą, nie sam tylko kapitan Cheyenne myśli o sposobach zwiedzenia stref biegunowych drogą napowietrzną. Zajmuje się również tym projektem kapitan Howgate w Ameryce. Ma on urządzić wyprawę, która w roku przyszłym wyruszy do zatoki Lady-Franklin, bez względu na to, jakie poweźmie kongres postanowienie, co do założenia osady w okolicach podbiegunowych.

Statystyka.

⁂ Szlązk Austrjacki liczy ludności 560.000 z tych jest 260.000, Niemców i 300.000 Polaków i Czechów. Szkół średnich jest na Szlązku 16, mianowicie 3 gimnazja, 4 szkoły realne, 2 realne gimnazja, 3 seminarja dla nauczycieli, 1 dla nauczycielek, 1 szkołę rolniczą i 2 szkoły przemysłowe. We wszystkich tych szkołach wykłady odbywają się w języku niemieckim !

⁂ Ordynacja wyborcza na Szlązku jest tak urządzona, że ludność miejska przeważnie niemiecka licząca 100.000 mieszkańców wybiera 21 posłów do Sejmu, a 7 do rady Państwa, 460.000 ludności wiejskiej, przeważnie słowiańskiej, wybiera 9 posłów do Sejmu, a 3 do Rady Państwa!

Słyszeliśmy, że jest jakaś delegacje mieniąca się polską w Wiedniu, ale nie słyszeliśmy, aby kiedy upomniała się o krzywdę ludności polskiej na Szlązku.

⁂ Statystyka żebractwa w Niemczech za rok ubiegły wykazuje 200.000 indywiduów, trudniącyck się żebraniną, które w jałmużnie ściągnęły z ludności olbrzymią sumę 73 miljonów marek, nie licząc datków w żywności, odzieży i t. p.

⁂ Włoski dziennik rządowy „Gazzeta Uffiziale“ ogłasza statystykę zbrodni popełnionych w pierwszym kwartale tego roku w pięknej Italji.

Dowiadujemy się z tej statystyki, że w trzech pierwszych miesiącach bieżącego roku popełniono na włoskiej ziemi 1046 morderstw i 777 napadów morderczych, które na szczęście nie skończyły się śmiercią ofiary.

Razem tedy 1823 dokonanych lub usiłowanych morderstw.

⁂ Paryskie dzienniki ogłosiły ciekawą statystykę teatrów paryskich w roku 1878. Według niej dochody ogólne teatrów paryskich dosięgły sumy 30,638.500 franków. Z tego przypada na wielką operę 3,570,570 fu.; hippodrom 2,403,075, komedję francuską 2,389,221, Variétés 1,712.110, operę komiczną 1,698.684, Porte Saint-Martin 1,621.893, Renaissance 1,558.341 franków i t. d. W Paryżu było w roku ubiegłym 32 teatry, z tych 7 lirycznych. Zajmowały one 594 muzykantów i 3 290 aktorów i aktorek. Oprócz tego było w Paryżu i okolicy najbliższej 72 cafés concerts z personelem 433 muzykantów i 509 aktorów i aktorek.

Zjawiska przyrody.

⁂ O Wezuwiuszu ogłosił profesor Palmieri następujący biuletyn: Po upływie fazy powolnego wzmagania się czynności wulkanicznej w stożku wezuwjuszowym, wulkan powrócił do dawnego stanu pomijając zwiększony nieco dynamizm, wskutek którego słyszeć się dają częste ale nie gwałtowne detonacje. W ostatnich dniach instrumenta w obserwatorjum znaczyły nadto tę tylko zmianę w naprężeniu wulkanicznem Wezuwiusza, jaka zwykle jest następstwem nowych faz księżycowych.

⁂ Straszna burza szalała w tych dniach w okolicy Vercelli w Piemoncie. Miejscowości Stroppesia i Rosasco zostały w okropny sposób spustoszone wichrem i gradem tak, że z pól i ogrodów nic już mieszkańcy nie zbiorą w tym roku. Wicher obalał najpotężniejsze drzewa i budynki, a grad zabijał ptaki i zwierzęta domowe. W pobliżu Ariano rozerwał wiatr pociąg osobowy i kilka wagonów rzucił na inny pociąg, przyczem wiele osób zostało poka-

leczonych; na dworcu zaś w Arjano zdruzgotał wiatr cztery wagony, a jeden, wyładowany 60 cetnarami ryżu, pędził aż do stacji Balzola. W pewnem miejscu uniósł i przewrócił wóz z zaprzęgiem wołów. Ani jeden słup telegraficzny nie utrzymał się cało.

*** Z Rouen donoszą, iż w mieście ukazały się olbrzymie masy pszczół, wciskających się natarczywie do mieszkań. Pszczoły te pokąsały kilka osób tak silnie, iż trzeba je było odesłać do szpitali.

PANI ACHMED RASSIM BEY.

(Szkic z społeczeństwa mahometańskiego.)

Ciężkie ołowiane chmury, jak szare opony, wisiały nad Perą, z upustów niebieskich lały strugi deszczu, na ulicach źle brukowanych błoto było po kostki. Przechodnie przemykały jak cienie, owinięci w płaszcze i kapucy. Psy, brnąc po brzuchy w błocie, wyły przeraźliwie.

W taki to dzień czterech tragarzy niosło na ramionach prostą czarną trumnę do Ferikioi, na cmentarz, gdzie grzebią wszystkich zmarłych nie-mahometańskiego wyznania. Za trumną szedł starzec jakiś i szlochał, przy nim kilkoro dzieci, a więc nikt, ani krewnych, ani znajomych, ani księdza, ani chłopaka z krzyżem na czele konduktu. Nędza i opuszczenie!

Pomimo słoty i ulewy przystanąłem aby spojrzeć za pogrzebem.

Wtem uczułem czyjąś rękę na ramieniu.

— Patrz tylko, drogi effendi — usłyszałem za sobą znany głos jednego z moich przyjaciół, dragomana Wysokiej Porty — patrz, widzisz tam tego psa, tego mordercę, jak się czai i sunie teraz za trupem swojej nieszczęśliwej ofiary. Ałłach jest wielkim, on pomści krzywdę biednej Chryzontyny.

Obejrzałem się zdziwiony, usłyszawszy imię chrześcijanki w ustach Araba i spojrzałem potem w kierunku wskazanym mi przez Nuri effendiego, który niezwykle podrażniony, z twarzą płonącą od rumieńców, z oczyma jak węgle rozżarzonemi — pokazywał mi w dali mężczyznę otulonego oficerskim płaszczem, w fezie na głowie.

Poznałem go, był to Achmed Rassim-Bey, adjutant sułtana.

— Cóż to wszystko znaczy? — spytałem Nuriego.

— Co to znaczy, to zbrodnia effendi, to łotrostwo tolerowane przez sprawiedliwość tego świata i naszych obyczajów — zawołał — pójdź pan ze mną, opowiem panu tę smutną historję.

Poszliśmy; po niejakimś czasie w ciepłym, wygodnym saloniku, przy kominku z cybuchem w ręku, słuchałem uważnie powieści, którą mi mój łaskawy gospodarz z przejęciem się opowiadał, przesuwając w ręku paciorki rożańca.

— Znałeś pan w Galata kawiareńkę Radonicza — mówił — tam, przy Sakis-Agadż, jak się idzie ku Mitlet-Jolessi?... nie?... mniejsza z tem. Na dole był lokal dla pospolitych gości, na piąterku pokoik dla wyborowych; tam zchodzili się ukradkiem oficerowie i urzędnicy Porty, którym stary Radonicz zastawiał wino wbrew zakazom proroka. I ja sam — Boże odpuść — zachodziłem często do owej knajpki, porzucałem wygodne moje komnaty w stambulskim konaku, mój harem — aby w tej małej, dusznej izdebce spędzać całe wieczory i pić kwaśne wino — byle tylko ręką pięknej Choryzontyny podane. Ach, effendi — żebyś ją był znał, widział — co to było za dziewczę rozkoszne, urocze, pełne wdzięku i łagodności, jak wiosenny dzień słoneczny. Nie tak, jak nasze Arabki ponure, ciemne, niedostępne, z czarnemi płonącemi oczyma pod ściągniętą gęstą brwią. Nie — to dziewczę miało gwiazdki w oczach, róże na licach, korale na ustach, a jasne włosy, jak złota wełna, miękkie, delikatne jak nić pajęcza

Chryzontyna była córką starego Radonicza; oboje pochodzili z Wiednia, gdzie mała odebrała edukację w pensjonacie Urszulinek, a nawet do ich zakonu wstąpić miała, ale po śmierci matki stosunki się zmieniły. Stary zbankrutował, musiał się wynieść z Wiednia, zabrał dzieci i pojechał do Bukaresztu, a potem do Konstantynopola. Tutaj założył też swoją kawiarnię. Dziewczyna musiała na piąterku gościom usługiwać, aby ojcu wygodzić, a zwłaszcza, aby obcej osobie nie powierzać służby w domu i tajemnicy zchodzenia się mahometańskich gości na wino nie zdradzać.

Żebyś pan był widział tę byłą pensjonarkę Urszulinek, jak się krzątała przy stolikach, nalewała szklanki, zapalała papierosy gościom, z jakim wdziękiem i powagą zarazem prowadziła rozmowę!

Niekiedy siadła do fortepianu i zaśpiewała nam wesołą piosenkę — a szczebiotać umiała, jak ptaszek, którego się tylko słuchać i słuchać chce bez ustanku.

Ze mną była najpoufalej, zwierzała mi się ze swoich małych sekretów, pozwalała ofiarować sobie kwiatek ładny, lub owoc smaczny, rozmawiała częściej i chętniej niż z innymi.

A ja — mój effendi — chodziłem jak oczarowany wdziękami dziewczyny. Ba!... żebym to ja jeden, każdy z nas bywających u starego Radonicza przepadał za „panną Chryzontyną“.

Pewnego razu w deszcz i słotę, jak dzisiejsza — licho mnie skusiło zaprowadzić tam Achmuda Rassim-Beya. Ulewa nas zaskoczyła na ulicy, pan adjutant obawiał się poplamić złotem bramowanego munduru, wstąpiliśmy tedy do kawiarni — ale tam skoro ujrzał piękną córkę gospodarza, skoro zamienił z nią kilka słów, uległ od razu czarom tej dziewczyny i odtąd już dzień za dniem, wieczór za wieczorem spędzał na piąterku.

Nie ulegało wątpliwości, że Achmed był zakochanym po same uszy, ale i Chryzontyna nie była dlań obojętną. Dla oka zwyczajnych gości nie było w ich stosunku nic takiego, coby podzjrzenie budziło; przeciwnie, rozmawiała z nim mniej niż z innymi, nie żartowała nigdy nie podała mu ręki przy świadkach. Zazdrość moja wszelako dopatrzyła się rychlej od wszystkich uczucia w sercu Chryzontyny dla pięknego Achmeda. Spojrzenia ich mówiły zbyt głośno, aby ich moje serce usłyszeć i zrozumieć nie miało.

Raz zobaczyłem, jak ona przycisnąwszy do ust róże, którą miała przedtem u gorsu, upuściła ją niby niechcący przy jego stole; porwał się, podniósł i schował spiesznie. Mój Boże! — pomyślałem sobie — mnie to nigdy kwiatek się nie dostał z pocałunkiem.

Szczęśliwy Achmed, ale nieszczęśliwa różyczka starego Radonicza.

Miałem słuszność, effendi — wkrótce potem Chryzontyna znikła z ojcowskiego domu: stary płakał, rozpaczał, biadał na losy, ale córki odszukać nie mógł.

Ja jeden domyślałem się wszystkiego; poszedłem wprost do Achmeda i powiadam do niego: „To ty wykradłeś Radoniczankę?“ — „Nie“ — odparł z najzimniejszą krwią. — „Kłamiesz!“ — Przysięgam ci na grób proroka, że nie kłamię“. — Musiałem na takie zaklęcie uwierzyć.

Zdarzyło się jakoś, że mnie wysłano z misją do Egiptu wkrótce po tym wypadku, bawiłem dość długo: za powrotem do stolicy nie znalazłem już ani kawiarni Radonicza, ani jego samego na dawnem miejscu, ani się więcej o losach Chryzontyny lub jej ojca dowiedzieć mogłem. Wszystko zapadło w jakąś noc tajemniczą, znikło jak płochliwy sen. Aż tu pewnego razu zjawia się u mnie były minister spraw wewnętrznych, Ibrahim-Handi pasza — znasz go pan przecież? — ojciec Achmeda Rassima i rozpowiada mi o swoim synu okropne historje. „Wyobraź sobie — mówi prawie z płaczem stary Ibrahim — że ten łotr wykradł jakąś chrześcijankę bez wiedzy ojca i żyje z nią już od roku w Pera, w frankońskiej dzielnicy. Do Stambułu nawet nie zagląda więcej, z rodziną się nie widuje. Radź, co robić? — Jeżeli kocha te kobietę i zechce ją zaślubić, jestem gotów przystać na wszystko, niech zostanie mahometanką, a ja ją z otwartemi rękoma w domu przyjmę“.

Zostałem tedy pośrednikiem pomimo woli.

Poszedłem do Achmeda i po roku niewidzenia spotkałem się u niego znowu oko w oko z Chryzontyną. Biedaczka pobladła, zchudła, oko straciło swój dawny, pogodny blask, częściej teraz łzy je gasiły. Achmed Bey zaniedbywał ją, przesycił się i ostygł dla niej. Czemże była dla niego biedna dziewczyna chrześcijańska? Różą, którą zerwał, z listków obdarł i teraz, nie wiedział sam, co z nią począć.

Propozycję ojca mimo to przyjął. Cóż mu ona szkodziła?... Jedna żona mniej lub więcej w haremie — oto wszystko. Chryzontyna uległa konieczności, zmieniła wiarę, wyparła się swojej, została mahometanką i przyjęła imię Heddich (Podarunek). Iman połączył ją węzłem małżeńskim z Achmedem i wszystko się dla niej odtąd skończyło.

W ponurym, ciemnym konaku paszy zamknięto delikatną, wykształconą europejkę pomiędzy inne grubijańskie, fanatyczne i zazdrosne żony Achmeda. W zakratowanym haremie płynęło jej teraz życie nudne, jednostajne, smutne, jak w więzieniu. Ani ludzi, ani swiata, ani własnego męża nie widziała na oczy. Czasem zjawił się Achmed-Rassim bey w haremie, ale na renegatkę wiele uwagi nie zwracał, w grubych, trywialnych żartach zabawiając się z niewolnicami swemi.

Zlitował się Ałłah nad nią — dał jej jedyną pociechę w tem życiu — dziecko. Heddich została matką ślicznego chłopaka i dla niego znosiła odtąd wszystkie dolegliwości, wszystkie cierpienia, których jej los nie szczędził; dla jego miłości gotową była w tem złoconem więzieniu wytrwać już do końca życia.

Ale przeznaczenie chciało inaczej.

Zdarzyło się razu pewnego, że siedząc u zakratowanego okna konaku obaczyła na ulicy swego czternastoletniego braciszka, który przechodził ulicą. Miłość rodzinna, wszystkie wspomnienia lepszej przeszłości obudziły się w jej sercu; drżącą ręką otworzyła okno i wołać brata poczęła, chcąc go przynajmniej zdala pozdrowić, przynajmniej pocałunek rzucić siostrzany. Chłopak, niestety — nie słyszał i nie przeczuwał nawet, że w zakratowanem oknie tureckiego pałacu jego siostra łzy leje i wzywa go najsłodszem imieniem.

Chłopak poszedł dalej i nie widział znaków, jakie mu Heddich dawała, ale odaliski haremowe widziały i na nienawistną rywalkę rzuciły się jak wściekłe hyeny, drapiąc ją, szarpiąc i wymyślając. Wrzucono nieszczęsną później do ciemnego lochu za karę; wieczorem, gdy Achmed powrócił do domu, poskarżono przed nim renegatkę, iż miewa jakieś konszachty z niewiernymi z ulicy, że jest mu wiarołomną.

Achmed-Rassim-Bey, pierwszy adjutant sułtana, kazał swą żonę, jak zbrodniarkę pierwszą lepszą — wyrzucić w nocy na bruk pałacu. Nie pomogły łzy, zaklęcia i prośby; Heddich w poszarpanych sukniach, pokrwawiona, pokaleczona, musiała noc przejęczyć pod murami mężowskiego pałacu. Na drugi dzień straż odegnała ją i ztamtad.

Biedna, bez dziecka — poszła szukać miłosiernych ludzi. Ałłah wie jeden, jakim sposobem trafiła do swego ojca, który odtrąconą, pokutującą renegatkę — przyjął znowu i przytulił do łona. Kilka miesięcy przeżyła jeszcze w trawiącej gorączce, wreszcie Bóg się zlitował nad grzeszną duszą i wyzwolił ją z ciała. Ale jeszcze po śmierci nie skończyło się jej nieszczęście; Turcy nie chcieli jej pogrzebać dlatego, że umarła w chrześcijańskim domu, chrześcijanie odmówili pogrzebu, bo zmieniła wiarę.

Ponieśli ją tedy, jakeś pan widział, na wspólny cmentarz bezwyznaniowy. Niech odpoczywa w pokoju!

— A cóż Achmed-Rassim-Bey — spytałem z cicha?

— Ożenił się w tym czusie z bogatą córką Abdullah-paszy i spędza właśnie miodowe miesiące... Przed kilku tygodniami byłem w domu Ibrahima-paszy; widziałem na dywanie bawiącego się chłopca o jasnych włoskaoh i turkusowych oczach. Biedne dziecko! — pomyślałem — ty nawet nie dowiesz się nigdy, co się z twą matką stało; wyrośniesz w domu dziadka — oby nie na wzór ojca, który tak podle postąpił z biedną Chryzontyną. Bóg z tobą mały Fuadzie!.... *K. Z.*

Treść Nr. 34. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.